



Romantyczna

*Dziewczę
z sadu*

Lucy Maud
Montgomery

Literacki
EGMONT

Lucy Maud
Montgomery

*Dziemcze
z sadu*

A decorative illustration in the upper right corner featuring a circular floral motif with leaves and a small flower-like shape.

Przekład
Magdalena Koziej

Literacki
EGMONT

Tytuł oryginału: *Kilmeny of the Orchard*

© Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o.

Warszawa 2014

Tłumaczenie: Magdalena Koziej

Redakcja: Anna Kubalska

Korekta: Magdalena Adamska, Jolanta Gomółka, Joanna Egert

Projekt graficzny serii i okładki: Agnieszka Kucharz-Gulis

Zdjęcia na okładce: © Irene Lamprakou / Arcangel Images

Koordinacja produkcji: Jolanta Powierża

Wydawca prowadzący: Natalia Sikora

Przygotowanie pliku e-booka: 88em

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Wydanie pierwsze, Warszawa 2014

Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o.

ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa

tel. 22 838 41 00

www.egmont.pl/ksiazki

ISBN 978-83-281-0175-3

Skład i łamanie: KATKA, Warszawa

Mojej kuzynce,

Beatrice A. McIntyre

Kilmeny piękna, dziewczeczko miła,
Gdzieżeś ty była, kędyś chodziła?
Czy się schroniłaś w zielonym gaju?
Może chłodziłaś stopy w ruczaju?
Róż białych trzymasz naręcze całe
Kilmeny piękna, gdzieś je zerwała?

[...]

Nie wie, co odrzec, i słowa waży.
Nie ma uśmiechu na pięknej twarzy.

The Queen's Wake

JAMES HOGG



1 MŁODZIEŃCZE PLANY

PROMIENIE WIOSENNEGO SŁOŃCA, złociste jak miód i tak samo rozkoszne, padały na ceglane budynki Uniwersytetu Queenslea i otaczający je teren. Przedzierały się przez nagie gałęzie pączkujących klonów i wiązów, rysując na ścieżkach niewyraźne graficzne wzory. Pieszczotliwie budziły rosnące pod oknami studenckiej szatni żonkile, które wychylały się zuchwale z zielonych pąków.

Kwietniowy wietrzyk, świeży i słodki, jakby przynoszący falę wspomnień, a nie uliczny pył, mruczał w koronach drzew i szarpał luźne pędy bluszczu porastające frontową ścianę głównego budynku. Ten wiatr śpiewał o wielu rzeczach, lecz każdy słyszał tylko to, co mu w duszy grało. Studentom, którzy właśnie włożyli birety i otrzymali dyplomy od Starego Charliego, szacownego rektora Queenslea, w obecności zachwyconych krewnych, ukochanych i przyjaciół, bajął pewnie o przyszłych sukcesach. Wyśpiewywał młodzieńcze marzenia, które może nigdy się nie spełnią, ale i tak warto je mieć. Biada temu, kto nie snuł takich marzeń, a po opuszczeniu uczelni nie czuł się królem życia i właścicielem zamorskich posiadłości. Taki człowiek nie skorzystał ze swoich przyrodzonych przywilejów.

Tłum wylał się z holu i rozproszył po kampusie, by zniknąć potem stopniowo w odchodzących od niego uliczkach. Eric Marshall i David Baker wyszli razem. Pierwszy z nich właśnie otrzymał dyplom nauk humanistycznych, z najlepszą lokatą na wydziale, drugi przyszedł, by

wziąć udział w ceremonii, i rozpierała go duma z powodu sukcesu absolwenta.

Młodych ludzi łączyła długa, wypróbowana przyjaźń, chociaż David był dziesięć lat starszy od Erica, zgodnie z rachubą lat, a o sto bogatszy w doświadczenia. Poznał trudy życia, które postarzają człowieka szybciej niż upływ czasu.

Byli kuzynami, ale bardzo różnili się wyglądem. Wysoki, barczysty Eric Marshall szedł lekkim, sprężystym krokiem, zdradzającym drzemiącą w nim siłę. Na jego widok mniej fortunni śmiertelnicy zastanawiali się, jakim prawem wszystkie dary losu przypadły jednemu osobnikowi. Był nie tylko mądry i przystojny, ale również obdarzony nieokreślonym wdziękiem, niezależnym od powierzchowności i zalet umysłu. Miał spokojne, szaroniebieskie oczy, ciemnokasztanowe włosy o złotym połysku oraz wyraźnie zarysowany podbródek. Pochodził z zamożnej rodziny, pożegnał już lata młodości, a teraz otwierała się przed nim wspaniała przyszłość. Uważano go za rozsądnego człowieka, nieulegającego romantycznym mrzonkom.

„Obawiam się, że Eric Marshall nie ma donkiszotowskich zapędów – zauważył profesor z Queenslea, który często wygłaszał tajemnicze komentarze. – Jeśli kiedyś to zmieni, będzie bez zarzutu”.

David Baker był z kolei niskim, krępy męczyzną o brzydkiej, lecz ujmującej twarzy. Jego brązowe oczy patrzyły przenikliwie, a usta układały się w zabawny grymas. David potrafił nim wyrazić ironię, ale także oczarowywać. Głos miał cichy i melodyjny, choć ten, kto słyszał, jak David unosi się słusznym gniewem, nie chciałby ponownie tego przeżyć.

Był laryngologiem i zaczynał już zdobywać sławę w całym kraju. Pracował na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Queenslea, lecz krążyły słuchy, że wkrótce otrzyma dobrą posadę na Uniwersytecie McGilla.

Doszedł do sukcesu trudną, wyboistą drogą, która zniechęciłaby większość ludzi. W roku narodzin Erica David Baker był gońcem w wielkim domu towarowym Marshall & Spółka. Trzydzieści lat później skończył z wyróżnieniem Wydział Medyczny Uniwersytetu Queenslea. Pan Marshall pomagał mu na tyle, na ile dumny podopieczny chciał

przystać, a teraz nalegał, by młody człowiek kontynuował studia w Londynie i Niemczech. David Baker spłacił co do centa sumę, którą pan Marshall wydał na jego kształcenie, ale nigdy nie przestał okazywać wdzięczności temu szczodremu człowiekowi i kochał jego syna jak rodzzonego brata.

Z czujnym zainteresowaniem śledził bieg studiów Erica i pragnął, aby ten po licencjacie podjął studia na wydziale medycyny lub prawa. Był wielce zawiedziony, że Eric postanowił zająć się prowadzeniem interesów wraz z ojcem.

– Zaprzepaszczasz swoje zdolności – zrzędził, kiedy wracali z uniwersytetu do domu. – W prawie byś się wybił, zdobył sławę. Jesteś taki wygadany, doskonale nadajesz się na prawnika. Marnowanie talentu w handlu to działanie wbrew Opatrzności, na przekór przeznaczeniu. Człowieku, gdzie twoja ambicja?

– Na właściwym miejscu – odparł wesoło Eric, jak zawsze skory do śmiechu. – W naszym młodym kraju trzeba działać na różnych polach. Owszem, zamierzam zająć się prowadzeniem interesów. A ojciec zawsze żywił nadzieję, że tak się stanie, więc byłby niepokieszony, gdybym się wycofał. Życzył sobie, bym zrobił licencjat z nauk humanistycznych, ponieważ sądzi, że każdy powinien mieć wszechstronne wykształcenie, ale teraz, kiedy tak się stało, chce mieć mnie u swego boku w firmie.

– Nie oponowałby, gdyby się dowiedział, że chcesz zająć się czymś innym.

– On nie. Ale to ja wcale tego nie chcę; i tu jest pies pogrzebany, Davidzie. Nie znosisz wszystkiego, co wiąże się z handlem, więc nie mieści ci się w głowie, że ktoś inny może to lubić. Na świecie jest wielu prawników, może nawet zbyt wielu, ale zawsze brakuje uczciwych ludzi interesu, którzy mają czyste intencje, robią coś dla wspólnego dobra i rozwoju swojego kraju, planują wielkie przedsięwzięcia, a następnie mądrze i odważnie je realizują, zarządzają nimi i je kontrolują, mierzą wysoko i osiągają swoje cele. No, ale widzę, że się rozgadałem, więc na tym poprzestanę. Co zaś do ambicji, mam jej aż nadto! Bucha ze mnie wszystkimi porami! Zamierzam sprawić, że dom towarowy Marshall & Spółka stanie się znany od oceanu do oceanu. Mój ojciec zaczynał

jako biedny chłopak z farmy w Nowej Szkocji. Udało mu się stworzyć firmę znaną w całej prowincji. Chcę ją rozwijać. Za pięć lat stanie się słynna na całym naszym wybrzeżu, za dziesięć w całej Kanadzie. Chcę, aby firma Marshall & Spółka podbiła rynek kanadyjski. Czyż nie jest to zadanie równie ambitne jak próba dowiedzenia na sali sądowej, że czarne jest białe? Albo odkrycie jakiejś choroby o potwornej nazwie, by dręczyć nieszczęśników, którzy mogliby umrzeć w błogiej nieświadomości tego, co im dolega?

– Skoro zaczniesz sobie dowcipkować, dajmy temu spokój – powiedział David, wruszając ramionami. – Każdy musi iść własną drogą. Zresztą prędzej bym zdobył samotnie twierdzę, niż zdołał cię odwieść od decyzji, skoro już ją podjąłeś. Eh, wspinaczka tą ulicą może człowieka wykończyć! Co opętało naszych przodków, że zbudowali miasto na zboczu wzgórza? Nie jestem tak szczupły i sprawny, jak wtedy gdy sam odbierałem dyplom przed dziesięciu laty. Nawiasem mówiąc, na twoim roku zauważyłem wiele dziewcząt – chyba ze dwadzieścia, o ile dobrze liczyłem. Ze mną studiowały tylko dwie damy, pionierki na uniwersytecie. Pierwszą młodość już dawno miały za sobą, były ponure, kościste i poważne. Zresztą nawet w swoich najlepszych dniach nieczęsto zapewne zaglądały do lustra. Choć trzeba im oddać, że to były wspaniałe kobiety. Jednak sądząc po dzisiejszych studentkach, nastaly zupełnie inne czasy. Jedna z nich miała najwyżej osiemnaście lat, a wyglądała, jakby została stworzona ze złota, płatków róż i kropli rosy.

– Wyrocznia przemawia wierszem – zaśmiał się Eric. – To była Florence Percival, prymuska z wydziału matematycznego. Uważana powszechnie za piękność. Ja nie podzielam tej opinii. Nie gustuję w takich słodkich blondyneczkach; wolę Agnes Champion. Zauważyłeś ją? Wysoka, ciemnowłosa dziewczyna z warkoczami i aksamitną cerą. Zdobyła dyplom z wyróżnieniem na wydziale filozoficznym.

– Owszem, zauważyłem – odrzekł David z naciskiem, zerkając przenikliwie na przyjaciela. – A nawet przyjrzałem jej się dokładnie i krytycznie, ponieważ ktoś wyszeptał jej imię, a potem dodał, że panna Champion ma zostać w przyszłości panią Ericową Marshall. Dlatego nie odrywałem od niej oczu.

– To nieprawda – rzucił Eric z rozdrażnieniem. – Agnes i ja

jesteśmy tylko przyjaciółmi. Ogromnie ją lubię i podziwiam, ale jeśli przyszła pani Ericowa Marshall rzeczywiście istnieje, to jeszcze jej nie spotkałem. Nie zacząłem nawet się za nią rozglądać i nie zamierzam tego robić w najbliższych latach. Mam inne rzeczy na głowie – zakończył pogardliwym tonem, który powinien sprowokować zemstę Kupidyna, o ile ten nie jest równie głuchy jak ślepy.

– Pewnego dnia spotkasz swoją przyszłą żonę – zauważył oschle David. – I pomimo twojej wzgardy śmiem twierdzić, że jeśli los nie sprowadzi jej wkrótce, to niedługo sam rozpoczniesz poszukiwania. Jedna mała rada, młodzieńcze. Kiedy będziesz uderzał w konkury, zawsze zabieraj ze sobą zdrowy rozsądek.

– Sądziś, że byłbym skłonny go zostawiać? – spytał Eric z rozbawieniem.

– No cóż, nie mam do ciebie zaufania – powiedział David, kręcąc z powagą głową. – W twoich żyłach płynie szkocka krew i ta jest w porządku, ale masz też domieszkę celtyckiej, po babci góralce, a z czymś takim nigdy nie wiadomo, kiedy da o sobie znać ani do czego człowieka doprowadzi, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy miłosne. Kto wie, czy nie stracisz głowy dla jakiejś trzpiotki albo zołzy z powodu jej powabów, a potem będziesz do końca życia nieszczęśliwy. Pamiętaj, że kiedy wybierzesz żonę, zastrzegam sobie prawo do wyrażenia szczerej opinii.

– Gadaj zdrów, ale i tak liczyć się będzie wyłącznie moja opinia – odpalił Eric.

– Och, wiem, ty uparty osle – warknął David, patrząc na niego z uczuciem. – Wiem o tym i dlatego nie zaznam spokoju, dopóki nie zobaczę, że ożeniłeś się z właściwą dziewczyną. Nietrudno ją znaleźć. Dziewięć na dziesięć dziewczyn w naszym kraju nadaje się do królewskich pałaców. Ale przed dziesiątą trzeba się mieć na baczności.

– Jesteś jak ta Mądra Elżunia¹ z bajki, która martwiła się o przyszłość swojego nienarodzonego dziecka – zachnął się Eric.

– Niesłusznie się z niej śmiano – odparł poważnie David. – My, lekarze, dobrze o tym wiemy. Być może Mądra Elżunia zbyt się zamartwiała, ale w zasadzie miała rację. Gdyby rodzice bardziej troszczyli się o swoje nienarodzone dzieci, przynajmniej na tyle, by

zadbać o ich podstawy fizyczne, mentalne i moralne, a przestali się o nie martwić potem, kiedy już się urodzą, ten świat byłby o wiele przyjemniejszym miejscem do życia, a rasa ludzka poczyniłaby większe postępy w ciągu jednego pokolenia niż w całej swej historii.

– Och, skoro zamierzasz dosiąść swojego konika i perorować o dziedziczności, nie zamierzam się z tobą spierać, Davidzie. Jeśli zaś chodzi o ponaglanie mnie do ożenku, to może być tak...

Eric już miał na końcu języka słowa: „Sam się ożenił z tą właściwą dziewczyną i dał mi dobry przykład?”. Jednak się zmytygował. Wiedział, że w życiu Davida Bakera jest pewne smutne wspomnienie, którego nie należy przywoływać żarcikami, nawet płynącymi z ust przyjaciela. Powiedział więc:

– Może być tak pozostawił to w rękach bogów, czyli w najwłaściwszym miejscu? Sądziłem, że wierzysz w przeznaczenie, Davidzie.

– Owszem, do pewnego stopnia – przyznał ostrożnie David. – Wierzę, że, jak mawiała moja wspaniała ciotka, „co ma być, to będzie, a czego ma nie być, czasem się odbędzie”. I właśnie takie pechowe zdarzenia krzyżują ludziom plany. Uważasz pewnie, że jestem staroświecki, Ericu, ale wiem o życiu nieco więcej od ciebie i wierzę niczym Tennysonowski Artur, że „nic pod słońcem tak nie działa chrobrze jak pierwsza, czysta miłość ku dziewicy”². Po prostu chciałbym bardzo szybko zobaczyć, że zawiąnałeś bezpiecznie do portu, związałeś się z jakąś wspaniałą kobietą. Żałuję, że twoją wybranką nie została panna Champion, gdyż bardzo mi się spodobała. Od razu widać, że jest dobra, silna i autentyczna. Jej oczy zaś mówią, że potrafi kochać, więc warto o jej miłość zabiegać. Poza tym pochodzi z porządnej rodziny, jest dobrze wychowana i wykształcona; a to trzy niezbędne przymioty, jeśli chodzi o wybór kobiety mającej zająć miejsce twojej matki, przyjacielu.

– Zgadzam się – rzucił niedbale Eric. – Nie mógłbym ożenić się z kobietą, która nie spełnia tych trzech warunków. Jednak, jak już mówiłem, nie jestem zakochany w Agnes Champion. A nawet gdybym był, nie miałbym u niej szans. Jest zaręczona z Larrym Westem. Pamiętasz go?

– To ten chudzielec, z którym przyjaźniłeś się przez pierwsze dwa

lata studiów? Pamiętam, a co się z nim dzieje?

– Musiał rzucić uczelnię z powodów finansowych. Teraz samodzielnie przerabia materiał. Przez ostatnie dwa lata uczył w szkole w jakiejś zapadłej dziurze na Wyspie Księcia Edwarda. Biedak, podupadł bardzo na zdrowiu. Zawsze był cherlakiem, a zakuwał bez opamiętania. Nie miałem od niego żadnych wieści od lutego, a już wtedy wyrażał obawy, że nie wytrzyma do końca roku szkolnego. Mam nadzieję, że Larry nie rozłoży się na dobre. To wspaniały kolega i wart nawet Agnes Champion. No, to jesteśmy w domu. Wstąpisz na chwilę, Davidzie?

– Dziś nie mam czasu. Muszę się przejść do North End, żeby obejrzeć gardło pewnego mężczyzny. Nikt nie potrafi zdiagnozować jego choroby. Wprawili w zdumienie wszystkich lekarzy, mnie zresztą też, ale dojdę do tego, co mu dolega, jeśli jeszcze trochę pożyje.



2 LIST OD LOSU

ERIC ZOBACZYŁ, że ojciec nie wrócił jeszcze z uniwersytetu. Poszedł więc do biblioteki i usiadł wygodnie, by przeczytać list, który wziął ze stolika w holu. Po chwili na jego twarzy odbiło się zainteresowanie.

„Mam do Ciebie pewną prośbę, Marshall – pisał Larry West. – Chodzi mianowicie o to, że dosięgła mnie ręka Filistynów³, to znaczy lekarzy. Przez całą zimę kiepsko się czułem, ale jakoś się trzymałem, mając nadzieję, że dotrwam do końca roku szkolnego.

W zeszłym tygodniu kobieta, u której wynajmuję pokój – istna święta w okularach i perkalowej sukni – spojrzała na mnie pewnego ranka przy śniadaniu i powiedziała BARDZO łagodnie: «Jutro musi pan pojechać do miasta i iść się zbadać». Pojechałem więc, nie zastanawiając się nad słusznością tego zalecenia. Z panią Williamson się nie dyskutuje. Zawsze potrafi ci wmówić, że ma absolutną rację, a ty postąpisz jak skończony głupiec, jeśli nie skorzystasz z jej rady. Czujesz, że jutro będziesz myślał to, co ona dzisiaj.

W Charlottetown udałem się do lekarza. Kłuł mnie, opukiwał, przystawiał do mnie różne wihajstry i potem przytykał do nich ucho, a wreszcie oświadczył, że muszę «bezzwłocznie» przestać pracować oraz «natychmiast» zmienić klimat i udać się w jakieś miejsce, gdzie nie szaleją północno-wschodnie wiatry nawiedzające Wyspę Księcia Edwarda na wiosnę. Nie wolno mi wykonywać żadnej pracy aż do

jesieni. Takie są zalecenia doktora, a pani Williamson je popiera.

Będę prowadził lekcje jeszcze przez tydzień, a potem zaczynają się trzytygodniowe ferie wiosenne. Chciałbym Cię prosić, abyś przyjechał i objął za mnie zastępstwo w szkole w Lindsay przez ostatni tydzień maja i cały czerwiec. Wtedy kończy się rok szkolny i mnóstwo nauczycieli będzie szukać posady, ale teraz trudno mi zdobyć odpowiedniego zastępcę. Mam kilku uczniów przygotowujących się do egzaminów wstępnych do Akademii Królewskiej i nie chcę zostawiać ich na lodzie ani też wydać na pastwę jakiegoś trzeciorzędnego belfra, który nie zna przyzwoicie łaciny, nie mówiąc już o grece. Przyjedź tu i przejmij szkołę do końca semestru, ty rozpieszczony beniaminku. Świetnie ci zrobi, kiedy się przekonasz, jakim bogaczem czuje się człowiek, który zarabia samodzielnie dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie!

A tak serio, Marshall, mam nadzieję, że dasz radę przyjechać, bo nie znam nikogo innego, kogo mógłbym o to poprosić. Praca nie jest ciężka, choć pewnie wyda ci się monotonna. Oczywiście w tej małej rolniczej osadzie położonej na północnym brzegu wyspy zbyt wiele się nie dzieje. Najbardziej ekscytujące wydarzenia przeciętnego dnia to wschód i zachód słońca. Jednak ludzie są bardzo życzliwi i gościnni, a Wyspa Księcia Edwarda na początku czerwca jest wspaniałym miejscem. W stawie pływają pstrągi, a w porcie zawsze znajdziesz jakiegoś wilka morskiego, który chętnie zabierze Cię na połów dorszy albo homarów.

Zostawię Ci też swoje lokum. Przekonasz się, że jest bardzo wygodne, w takiej odległości od szkoły, że akurat będziesz miał dobrą przechadzkę. Pani Williamson to najmiłsza osoba pod słońcem, a poza tym nieoceniona kucharka, która pichci te wszystkie tradycyjne pyszności.

Jej mąż, Robert, pomimo sześćdziesiątki na karku powszechnie zwany Bobem, to szczególne indywiduum. Jest zabawnym starym plotkarzem ze skłonnością do pikantnych komentarzy i wtykania nosa w cudze sprawy. Wie wszystko o wszystkich w Lindsay trzy pokolenia wstecz.

Są bezdzietni, ale stary Bob ma czarnego kota, którego uwielbia

i jest z niego bardzo dumny. Zwierzak nazywa się Timothy i tak należy o nim mówić oraz tak właśnie się do niego zwracać. Nigdy, jeżeli zależy Ci na dobrej opinii Roberta, nie dopuść do tego, by usłyszał, jak mówisz o jego ulubieńcu per «kot» lub nawet «Tim». Nigdy Ci tego nie wybaczy i uzna, że nie nadajesz się na nauczyciela.

Dostaniesz mój pokój, czyli niewielką izbę nad kuchnią. Skośny sufit odpowiada pochyłości dachu, więc pewnie wiele razy walniesz w niego głową, zanim zapamiętasz, że tam jest. Znajdziesz też lustro, które jedno oko pomniejszy Ci do rozmiaru groszku, a drugie wyolbrzymi tak, że będzie wielkie niczym pomarańcza.

Jednak wszystkie te niedogodności rekompensuje stała i szczodra dostawa czystych ręczników, a poza tym okno wychodzące na zachód, skąd będziesz mieć widok na port Lindsay, a dalej na zatokę, która jest niewymownie piękna. Kiedy piszę te słowa, zachodzi nad nią słońce i widzę szklistą tafłę morza muskaną płomieniami jak w wizji proroka z Patmos. Jakiś statek odpływa w stronę nakreślonego złotem i purpurą horyzontu. Na czubku cypla za portem zapalono właśnie latarnię morską.

(...) *nisze*

Spokoju w burzy, kiedy rejs baśniowej floty

Niół ją ku niedostępnym lądom poprzez morza⁴.

Zadepesuj, czy możesz przyjechać, a jeśli tak, staw się do pracy dwudziestego trzeciego maja”.

Kiedy Eric składał w zamyśleniu list, do biblioteki wszedł pan Marshall senior. Wyglądał na dobrotliwego starego pastora albo filantropa, a nie bystrego i dość bezwzględneho, choć uczciwego człowieka interesu, którym był w rzeczywistości. Miał okrągłą, zaróżowioną twarz okoloną białymi bokobrodami, długie siwe włosy i wydatne usta. Jednak w jego niebieskich oczach czaił się błysk, który ostrzegał, że niełatwo tego starego wygę przechytryć. Od razu było widać, że Eric odziedziczył urodę i wytworność po matce, której portret wisiał na ciemnej ścianie pomiędzy oknami. Zmarła młodo, kiedy Eric miał dziesięć lat. Za życia była obiektem żarliwych uczuć męża i syna,

a ładne, pełne siły i słodczy oblicze z portretu potwierdzało, że zasługiwała na ich miłość i szacunek. Te same rysy modelowały męską twarz Erica. Kasztanowe włosy układały się nad czołem w podobny sposób, oczy miał takie same jak matka, a kiedy poważniał, odbijały się w nich czułość i zaduma.

Pan Marshall był bardzo dumny z sukcesów syna na uczelni, ale nie zamierzał dać tego po sobie poznać. Kochał tego chłopca ponad wszystko i ulokował w nim całe swoje nadzieje i ambicje.

– No, dzięki Bogu, już po całym zamieszaniu – powiedział cierpko, sadowiając się w swoim ulubionym fotelu.

– Uroczyść cię znużyła? – spytał Eric z roztargnieniem.

– DUBY smalone – skwitował ojciec. – Podobały mi się tylko łacińskie modlitwy Charliego i te śliczne dziewczyny truchtające po swoje dyplomy. Łacina pierwszorzędnie pasuje do modlitw, przynajmniej jeśli ktoś ma głos jak wasz rektor. Słowa dudniły tak donośnie, że aż miałem ciarki. A te studentki były śliczne niby goździki, prawda? Najładniej wyglądała Agnes. Doszły mnie słuchy, że się do niej zalecasz. Mam nadzieję, że to prawda, Ericu?

– Do licha, ojcze! – zachnął się Eric, trochę z irytacją, a trochę z rozbawieniem. – Czy zawiązałeś z Davidem spisek, by nakłonić mnie do małżeństwa?

– Nie wspomniałem mu nawet słowem na ten temat – obruszył się pan Marshall.

– No cóż, w każdym razie jesteś tak samo nieznośny jak on. Przez całą drogę z uczelni wiercił mi dziurę w brzuchu w związku z tą sprawą. Ale czemu tobie tak pilno, by namówić mnie do żeniaczki?

– Bo chcę, by pojawiła się u nas jak najszybciej pani domu. Nie było żadnej od śmierci twojej matki. Dość mam tych wszystkich gospodyń. I chciałbym jeszcze potrzymać wnuki na kolanach, zanim umrę, a jestem już stary, Ericu.

– Rozumiem twoje pragnienia, ojcze – powiedział Eric łagodnie, zerkając na portret matki. – Ale nie mogę przecież się z tym spieszyć i poślubić pierwszej lepszej z brzegu. A obawiam się, że dawanie ogłoszenia też mija się z celem, nawet w naszych skomercjalizowanych czasach.

– A więc żadna ci się nie podoba? – spytał pan Marshall z cierpliwą miną człowieka, który przymyka oko na młodzieńcze żarciki.

– Nie. Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, która by sprawiła, że serce zabiło mi mocniej.

– Nie rozumiem, co się dziś wyprawia z młodymi mężczyznami – mruknął ojciec. – Zanim doszedłem do twojego wieku, zdążyłem się już kilka razy zakochać.

– Może i byłeś zakochany, ale nie kochałeś żadnej kobiety, dopóki nie spotkałeś mojej matki. Zresztą, kiedy to nastąpiło, miałeś już swoje lata.

– Trudno cię zadowolić, i w tym tkwi cały szkopuł.

– Możliwe. Kiedy mężczyzna ma taką matkę jak ja, robi się wyjątkowo wybredny. Ale zostawmy ten temat, ojcze. Przeczytaj, proszę, ten list od Larry’ego.

– Hm! – odchrząknął pan Marshall, kiedy skończył lekturę. – A więc Larry’ego w końcu ścięło z nóg. Zawsze wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie. Przykro mi zresztą. To porządny chłopak. Więc jak, jedziesz?

– Chyba tak, jeśli tylko nie masz nic przeciwko temu.

– Sądząc po opisie Lindsay, wynudzisz się tam jak mops.

– Pewnie tak. Ale nie jadę tam dla rozrywki, tylko żeby wyświadczyć przysługę Larry’emu i zwiedzić wyspę.

– Zapewne warto ją obejrzeć w niektórych porach roku – przyznał pan Marshall. – Kiedy bywam tam latem, to rozumiem, o co chodziło pewnemu staremu Szkotowi, którego spotkałem w Winnipeg. Zawsze mówił o wyspie. Ktoś zapytał go kiedyś: „Jaką wyspę ma pan na myśli?”. Spiorunował ignoranta wzrokiem i odparł: „No, jak to? Wyspę Księcia Edwarda. A jest jakaś inna?”. Jedź, skoro chcesz. Należy ci się wypoczynek po tych ciężkich egzaminach, zanim weźmiesz się do interesów. Tylko nie wyczyniaj głupstw, żebyś nie wpakował się w jakąś kabałę.

– O to byłoby raczej trudno w takim miejscu jak Lindsay – zaśmiał się Eric.

– Prawdopodobnie diabeł podsuwa tyle samo durnych pomysłów próżniakom w Lindsay jak wszędzie. Najgorsza tragedia, o jakiej

kiedykolwiek słyshałem, wydarzyła się na farmie na odludziu, oddalanej piętnaście mil od kolei i pięć od sklepu. Jednak spodziewam się, że jak przystało na syna swojej matki, będziesz się zachowywał zgodnie z przykazaniami boskimi i ludzkim prawem. Przepuszczalnie najgorsze, co może ci się przydarzyć, to nocleg w pokoju gościnnym jakiejś lekkomyślnej niewiasty. Ale lepiej by ci się to nie przytrafiło.



3 NAUCZYCIEL Z LINDSAY

MIESIĄC PÓŹNIEJ Eric Marshall wyszedł wieczorem ze starego, pobielonego wapnem budynku szkoły w Lindsay, po czym zamknął poryte inicjałami drzwi, które obito dodatkowo deskami, aby wytrzymały wszelkie ataki młodzieży.

Uczniowie Erica poszli do domu przed godziną, ale on został dłużej, aby rozwiązać parę zadań algebraicznych i poprawić wypracowania z łaciny swoich bardziej zaawansowanych uczniów.

Żółte słoneczne promienie przecinały ukośnie gęsty klonowy zagajnik z zachodniej strony budynku, a przyćmiona zielona poświata w dole mieniła się złotem. Kilka owiec skubało bujną trawę na dalekim krańcu dziedzińca, gdzieś w głębi klonowego lasu pobrzękiwał cicho i melodyjnie krowi dzwonek, a jego dźwięk niósł się w kryształowym powietrzu, które pomimo swej łagodności zachowało nieco rzeźkiej surowości kanadyjskiej wiosny. Zdawało się, jakby cały świat zapadł w przyjemny, niezmacony niczym sen.

Otoczenie było bardzo spokojne i sielskie. „Aż zanadto” – pomyślał młody człowiek, wzruszając ramionami, kiedy stał na wydeptanych schodkach i rozglądał się wokół. Zastanawiał się, jak wytrzyma tu jeszcze miesiąc, i uśmiechnął się do siebie pod nosem.

„Ojciec śmiałyby się ze mnie, gdyby wiedział, że już mi się znudziło – pomyślał, kiedy szedł dziedzińcem w stronę rudawej drogi biegnącej obok szkoły. – No cóż, w każdym razie jeden tydzień mam już za sobą.

Przez ten czas sam zarabiałem na własne utrzymanie, a jeszcze nigdy nie mogłem tego o sobie powiedzieć w całym swym dwudziestoczteroletnim życiu. To bardzo radosna myśl. Jednak samo uczenie w szkole rejonowej w Lindsay nie jest zbyt ekscytujące, bo wszyscy sprawują się tutaj grzecznie, a uczniowie są tak męcząco dobrzy, że omija mnie nawet tradycyjna rozrywka w postaci młócenia różgą hałaśliwych łobuzów. Wygląda na to, że w instytucji szkolnej Lindsay wszystko idzie jak w zegarku. Najwyraźniej Larry ma wyjątkowy talent organizacyjny i potrafił zaprowadzić dyscyplinę. Czuję się, jakbym był trybikiem w świetnie wyregulowanej maszynie, która sama się napędza. Jednak wiem, że pewni uczniowie się jeszcze nie pojawili, a zgodnie z doniesieniami nie wyrugowano też z nich wszelkich ludzkich przywar. Może dzięki nim zrobi się ciekawiej. Poza tym kilka kolejnych wypracowań, takich jak praca Johna Reida, także doda trochę pieprzu do moich zajęć”.

Eric obudził śmiechem echo, kiedy skręcał na drogę prowadzącą w dół długiego pagórka. Tego ranka pozwolił czwartoklasistom wybrać sobie dowolny temat wypracowania, a John Reid, poważny smyk bez krztyny poczucia humoru postanowił, za podszeptem koleżki żartownisia, napisać o „zalotach”. Przez cały dzień Eric z trudem opanowywał śmiech, ilekroć przypominał sobie pierwsze zdanie: „Zaloty to bardzo przyjemne zajęcie, przy którym wielu ludzi posuwa się za daleko”.

Odległe wzgórza i zalesione wyżyny zdawały się delikatnie drzeć jak okryte purpurowoperłowym tiulem. Młode zielone klony napierały tłumnie z obu stron drogi, a za nimi rozpościerały się skąpane w słońcu szmaragdowe pola, nad którymi przesuwały się cienie chmur, najpierw ogromniejące, a potem znikające. Daleko w dole za polami spał spokojnie błękitny ocean i wzdychał przez sen. Szmer takich westchnień zawsze szumi w uszach tych, którym dobry los pozwolił usłyszeć je przy narodzinach.

Od czasu do czasu Eric spotykał bosonogich chłopców w kraciastych koszulach jadących na oklep konno albo siedzącego na wozie gospodarza o sprytnej twarzy, który, kiwnąwszy głową na powitanie, wołał wesoło: „Jak leci, panie nauczycielu?”; młodą

dziewczynę o zaróżowionej owalnej buzi z dołeczkami w policzkach i ciemnymi oczami, w których tliła się nieśmiała kokieteria. Mijała go z miną mówiącą, że nie miałyby nic przeciwko bliższej znajomości z nowym nauczycielem.

W połowie zbrocza Eric napotkał powłóczącego nogami starego szarego konia ciągnącego wóz, który pamiętał lepsze czasy. Powoziła nim kobieta: wydawała się jedną z tych bezbarwnych osób, którym los poskąpił w życiu uniesień. Zatrzymała konia i przywołała Erica do siebie rączką spłowiełej parasolki ze sterczącymi drutami.

– To pan jest tym nowym nauczycielem? – spytała.

Eric przytaknął.

– Cieszę się, że pana widzę – powiedziała, podając mu rękę w bardzo pocerowanej bawełnianej rękawiczce, niegdyś zapewne czarnej. – Przykro mi, że pan West wyjechał, bo był dobrym nauczycielem i najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem. Ale zawsze mu powtarzałam, że na pewno ma suchoty. Pan za to wygląda zdrowo, chociaż to żadna gwarancja. Miałam brata, który też tak wyglądał, ale zginął młodo w katastrofie kolejowej na zachodzie. W przyszłym tygodniu przyślę do szkoły swojego syna. Powinien pójść już w tym, ale muszę zatrzymać go w domu, żeby pomógł mi sadzić ziemniaki. Jego ojciec nie chce pracować, no to nie pracuje, i za nic się nie da zagonić do roboty. Sandy, czyli Edward Alexander, bo takie imiona dostał po swoich dziadkach, nie znosi szkoły jak diabeł święconej wody, zawsze tak było. Ale będzie chodzić, bo postanowiłam, że trzeba mu wbić do głowy trochę wiadomości. Spodziewam się, że będzie pan miał z nim kłopoty, bo jest głupi jak but i uparty jak muł. Ale będę panu pomagać. Po prostu niech pan sprawi Sandy’emu manto, jeśli będzie trzeba, a potem przyśle mi przez niego liścik, to mu jeszcze dołożę. Są ludzie, którzy zawsze biorą stronę swoich dzieciaków, jeśli tylko jest jakaś awantura w szkole, ale ja do nich nie należę. Zawsze może pan liczyć na Rebeccę Reid.

– Dziękuję, będę pamiętał – potwierdził Eric najbardziej ujmującym tonem, na jaki było go stać.

Zdołał zachować poważną minę aż do chwili, gdy pani Reid odjechała, unosząc w swoim wyschniętym i stwardniałym sercu

nieoczekiwaną czułość. Zbyt długo musiała znosić ubóstwo i znój oraz męża, który nie pracował i nie dawał się zagonić do roboty, nic więc dziwnego, że nie była wrażliwa na uroki przedstawicieli płci przeciwnej. Uznała jednak, że ten młody człowiek potrafi się zachować i zdobyć sympatię.

Eric znał już z widzenia większość mieszkańców Lindsay, ale u podnóża zbocza natknął się na mężczyznę i chłopaka. Nigdy ich wcześniej nie spotkał. Siedzieli na zniszczonej, staroświeckiej furze i poili konia w potoku, który bulgotał przejrzysto pod drewnianym mostkiem.

Eric przyjrzał im się z ciekawością. W niczym nie przypominali innych mieszkańców Lindsay. Zwłaszcza chłopak miał wyraźnie cudzoziemski wygląd pomimo kraciastej koszuli i samodziałowych spodni, które stanowiły roboczy strój wszystkich tutejszych wiejskich chłopaków. Rozpięty kołnierz koszuli odsłaniał chudą, ogorzałą szyję. Chłopak sprawiał wrażenie bardzo zwinnego. Włosy miał czarne, kędzierzawe, a dłoń oparta o bok wozu była bardzo smukła. Twarz o wyrazistych, choć nieco topornych rysach, oliwkowa cera, usta czerwone i ponętne jak u dziewczyny, wielkie czarne oczy o śmiałym spojrzeniu sprawiały, że był uderzająco przystojny. Miał jednak ponury wyraz twarzy i przypominał Ericowi zwinnego kota wylegującego się z leniwym wdziękiem, ale gotowego do niespodziewanego skoku.

Drugim nieznanym był mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce, o szpakowatych włosach, długiej, siwej brodzie, surowej twarzy i głęboko osadzonych orzechowych oczach pod krzaczastymi, najeżonymi brwiami. Widać było, że jest wysoki, szczupły i mocno przygarbiony. Usta miał zaciśnięte, o nieustępliwym wyrazie i nie wyglądało na to, by kiedykolwiek gościł na nich uśmiech. W ogóle coś takiego jak uśmiech trudno było połączyć z tym człowiekiem. Jednak w jego twarzy nie było nic odpychającego, za to znalazło się coś, co przyciągnęło uwagę Erica.

Szczycił się tym, że jest znawcą ludzkich fizjonomii, więc uznał, że ten mężczyzna nie jest typowym mieszkańcem Lindsay, czyli prostolinijnym, jowialnym gadułą.

Długo po tym, gdy stara fura z dziwnie dobraną parą odjechała

i potoczyła się ciężko pod górę, Eric myślał o poważnym mężczyźnie z krzaczastymi brwiami i czarnookim chłopaku.



4 POGAWĘDKA PRZY PODWIECZORKU

DOM WILLIAMSONÓW, u których Eric zamieszkał, stał na szczycie sąsiedniego wzgórza. Zgodnie z przewidywaniami Larry'ego Westa Ericowi bardzo się tam spodobało. Williamsonowie, tak samo jak pozostali mieszkańcy Lindsay, założyli z góry, że jest on biednym studentem i sam zarabia na swoje utrzymanie. Eric nie wyprowadzał ich z błędu, choć nie robił też nic, by potwierdzić to przekonanie.

Kiedy Eric wszedł do domu, Williamsonowie właśnie siedzieli w kuchni przy podwieczorku. Pani Williamson rzeczywiście była, jak określił ją Larry West, „świętą w okularach i perkalowej sukience”. Eric bardzo ją polubił. Siwowłosa kobieta miała drobną budowę ciała, szczupłą, miłą twarz o szlachetnych rysach, głęboko pobrużdżoną śladami bolesnych przeżyć. Z zasady mówiła niewiele, ale, jak powiadali miejscowi, nie gadała po próżnicy. Eric wciąż nie mógł się nadziwić, dlaczego taka kobieta wyszła za Roberta Williamsona.

Obdarzyła Erica matczynym uśmiechem, gdy wiesział kapelusz na bielonej wapnem ścianie i przysiadł się do stołu. Za oknem znajdującym się za jego plecami widać było kępę brzoź zachwycająco rozedrganych w promieniach zachodzącego słońca wśród morza zarośli, które kłębiły się niczym złote fale przy każdym powiewie wiatru.

Robert Williamson siedział na ławie naprzeciw Erica. Był niskim, chuderlawym mężczyzną, na którym wisiało za luźne ubranie. Piskliwy

głos pasował do jego wyglądu.

Drugi koniec ławy zajmował Timothy, lśniący i zadowolony z siebie, ze śnieżnobiałymi łapkami i krawacikiem. Robert dzielił się z nim każdym kęsem, a kocur jadł z wdziękiem, mrużąc w podzięcie.

– Właśnie na pana czekaliśmy – powiedział Robert. – Późno dziś pan przychodzi. Zatrzymał pan w kozie jakichś nygusów? To głupi sposób karania, tak samo przykry dla pana jak dla nich. Pewien nauczyciel, którego mieliśmy przed czterema laty, po prostu ich zamykał i szedł sobie do domu. Po godzinie wracał i ich wypuszczał; o ile jeszcze kogoś zastał. Tom Ferguson wybił kiedyś kopniakiem dziurę w drzwiach, żeby zwiać. Dlatego te nowe obiliśmy podwójnie deskami.

– Zostałem w klasie, żeby trochę popracować – odpowiedział lakonicznie Eric.

– No i nie spotkał pan Alexandra Tracy’ego. Przyszedł, żeby się dowiedzieć, czy umie pan grać w szachy, a kiedy powiedziałem, że tak, prosił, aby wpadł pan do niego kiedyś na partyjkę. Tylko niech pan z nim za często nie wygrywa. Musi pan być z nim w dobrych stosunkach, bo ma syna, który może dać się panu we znaki, kiedy zacznie znów chodzić do szkoły. Seth Tracy to małe diable, bardziej skore do psot niż jedzenia. Tak denerwuje wszystkich nowych nauczycieli, że dwóch udało mu się nawet wykurzyć ze szkoły. Ale pan West mu się nie dał. Za to chłopcy Williama Tracy’ego nie będą panu sprawiać żadnych kłopotów. Są teraz zawsze grzeczni, bo ich matka mówi im w każdą niedzielę, że jak się nie będą ładnie zachowywać w szkole, to pójdą prosto do piekła. Bardzo skuteczna metoda. Proszę sobie nałożyć konfitur. My nie zachowujemy się tak, jak pani Adamowa Scott, która mówi przy stole do swoich lokatorów: „Pewnie już się pan najadł?”. A wiesz, matko, Aleck mówi, że stary George Wrigth ponoć ciągle baluje. Jego żona wyjechała odwiedzić siostrę w Charlottetown, a on pierwszy raz od czterdziestu lat, czyli dnia ślubu, robi, co chce. Aleck mówi, że to istna rozpusta, co ten George wyrabia. Pali w salonie i siedzi do jedenastej wieczorem, bo zaczytuje się brukowcami.

– Zdaje się, że spotkałem pana Tracy’ego – powiedział Eric. – Czy to taki wysoki mężczyzna z siwymi włosami i ciemną, surową twarzą?

– Nie, Aleck jest wesołym grubaskiem i przestał rosnąć, zanim

jeszcze zaczął. Pewnie chodzi panu o Thomasa Gordona. Też widziałem, jak jechał drogą. Ten na pewno nie będzie zawracał panu głowy zaproszeniami, bez obawy. Gordonowie nie są towarzyscy, łagodnie mówiąc. Matko, podaj panu nauczycielowi herbatniki.

– Kim był ten młody chłopak, który z nim jechał? – spytał zaciekawiony Eric.

– Neil. Neil Gordon.

– Takie szkockie imię? Myślałby kto, że Giuseppe albo Angelo. Wygląda mi raczej na Włocha.

– Nie dziwota, bo nim jest. Zgadł pan. Miejscowym nie w smak, że jest aż tak włoski.

– Jak to się stało, że włoski chłopak o szkockim imieniu mieszka w takim miejscu jak Lindsay?

– No cóż, to było tak. Jakies dwadzieścia dwa lata temu... dwadzieścia dwa czy cztery, matko? Tak, dwadzieścia dwa, bo to się zdarzyło w tym samym roku, kiedy urodził się nasz Jim, a miałby teraz dwadzieścia dwa lata, gdyby wyżył, biedaczek. No więc, przyjechali wtedy do nas włoscy domokrażcy i zjawili się u Gordonów. Wtedy mnóstwo się ich tu kręciło, prawie codziennie szczułem jakiegoś psem.

No więc ci domokrażcy to była para małżeńska, a żona zasłała, akurat jak zaszli do Gordonów. Janet Gordon wzięła ją do domu i się nią zajęła. Następnego dnia urodziło się dziecko, a kobieta umarła. Nim kto się obejrzał, ojciec dziecka zwiął ze wszystkimi kłopotami i wszelki słuch o nim zaginął. Gordonowie zostali z dzieciakiem. Radzono im, by oddali go do sierocińca, i tak byłoby najrozsądniej, ale nie chcieli słuchać. Żył wtedy jeszcze stary James Gordon, ojciec Thomasa i Janet, i powiedział, że nigdy nie wyrzuci dziecka ze swego domu. Lubił rządzić i w domu rozstawiał wszystkich po kątach. Ludzie mawiali, że gniewał się na słońce, bo wstawało i zachodziło, nie czekając na jego rozkazy. Tak czy siak, zatrzymali malucha. Nazwali go Neil i ochrztili. Żyje tu od zawsze. Dbali o niego, posyłali do szkoły, prowadzali do kościoła i traktowali jak własnego. Niektórzy sądzą, że za bardzo mu pobleźali. To nie zawsze wychodzi dziecku na dobre. Ponoć Neil jest bystry i pracowity, ale ludzie go nie lubią. Mówią, że nie można mu zaufać, że wciąż trzeba mieć go na oku. Na pewno ma bardzo porywczy charakter,

bo raz, w drodze do szkoły, omal nie zabił z zemsty chłopaka. Dusił go tak długo, aż tamtemu twarz zsiniała i trzeba było Neila od niego odciągać.

– No, ale sam wiesz, ojczulku, że okropnie mu dokuczali – zachnęła się pani Williamson. – Biedak naprawdę się nacierpiał, kiedy poszedł do szkoły. Inne dzieci rzucały w niego różnymi rzeczami i go przezywały.

– Tak, bardzo się nad nim znęcały – przyznał jej mąż. – Chłopak świetnie gra na skrzypcach i lubi towarzystwo. Często chodzi do portu. Ale mówią, że jak nieraz coś go napadnie, to bez kija nie podchodzi. Nic dziwnego, jeśli żyje się z Gordonami. To dziwaki, jakich mało.

– Ojczulku, nie powinieneś tak mówić o swoich sąsiadach – powiedziała jego żona z naganą w głosie.

– Ależ, mateczko, sama musisz uczciwie przyznać, że to prawda. Ale ty jesteś jak stara ciocia Nancy Scott, nigdy nie mówisz nic uszczypliwego, no chyba że chodzi o interesy. Wiesz, że Gordonowie nie są tacy jak inni, nigdy nie byli i nie będą. To jedyni dziwni ludzie w Lindsay, panie nauczycielu, no może oprócz Petera Cooka, który trzyma dwadzieścia pięć kotów. Rany boskie, co za pomysł! Jakie szanse ma tam biedna myszka? Reszta z nas wcale nie jest dziwna, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Ale w związku z tym, muszę przyznać, jesteśmy bardzo nieciekawi.

– Gdzie mieszkają Gordonowie? – spytał Eric, który nauczył się już, że trzeba rzucać szybko celne pytanie, by przedrzeć się przez gąszcz wywodów Roberta.

– Tam w górze, pół mili od drogi do Radnor, za gęstym świerkowym lasem, który odgradza ich od świata. Nigdzie nie chodzą, tylko do kościoła. Nie opuszczają żadnego nabożeństwa. I nikt ich nie odwiedza. Mieszkają tam: stary Thomas, jego siostra Janet, ich siostrzenica oraz ten Neil, o którym właśnie rozmawialiśmy. To ponura, zbikowana banda, i właśnie że będę tak mówił, mateczko. A teraz daj swojemu staruszkowi filiżankę herbaty i nie przejmuj się tym, co wygaduje. A skoro mowa o herbacie, czy wiesz, że pani Adamowa Palmer i pani Jimowa Martin w ostatnią środę zjadły razem podwieczorek u Fosterów?

– Doprawdy? Sądziłam, że są pokłócone – powiedziała pani Williamson, wykazując odrobinę kobiecej ciekawości.

– No bo są, owszem. Ale tak się złożyło, że obie wybrały się z wizytą do pani Foster tego samego popołudnia i żadna nie wyszła, bo to by oznaczało, że ustępuje tej drugiej. Więc jakoś przetrzymały cały podwieczorek, siedząc po dwóch stronach salonu. Pani Foster mówi, że nigdy w życiu nie spędziła tak nieprzyjemnego popołudnia. Zwracała się to do jednej, to do drugiej. A one niby to mówiły do pani Foster, a tak naprawdę do siebie. Ponoć pani Foster myślała, że będzie musiała znosić je przez całą noc, bo żadna nie chciała wyjść do domu przed tą drugą. Wreszcie zjawił się Jim Martin w poszukiwaniu żony, bo obawiał się, że utknęła gdzieś na moczarach, i to rozwiązało problem. Panie nauczycielu, nic pan nie je. Niech pan się nie przejmuję, że ja już przestałem jeść, zacząłem pół godziny przed pana przyjściem, a zresztą się spieszę. Mój parobek pojechał dziś w swoje strony. Zeszłej nocy usłyszał pianie koguta o północy, więc pojechał do domu, by sprawdzić, kto z jego rodziny zmarł. Bo wie na pewno, że kogoś to spotkało. Kiedyś już raz usłyszał pianie koguta o północy, a nazajutrz dostał wiadomość, że zmarł jego kuzyn z Souris. Mateczko, jeśli pan nauczyciel nie chce już herbaty, to może znajdzie się trochę śmietanki dla Timothy’ego?



5 ZACHWYCAJĄCA ZJAWA

TEGO SAMEGO WIECZORU na krótko przed zachodem słońca Eric wybrał się na przechadzkę. Kiedy nie wędrował wybrzeżem, lubił szwendać się po miejscowych polach i lasach, napawać urokiem najłagodniejszej pory roku. Większość domów w Lindsay była zbudowana wzdłuż głównej drogi biegnącej równoległe do brzegu morza oraz wokół sklepów na tak zwanym Rogu. Gospodarstwa leżały dalej, wśród leśnej głuszy i pastwisk.

Eric opuścił zagrodę Williamsonów i skierował się na południowy zachód, bo tamtej okolicy dotąd jeszcze nie zwiedził. Maszerował żwawym krokiem, rozkoszując się czarem wiosny, którą czuło się wokół. Chłonał ją całym sobą jak każdy, kto nie ma nic na sumieniu i tryska zdrowiem.

Właśnie zachodziło słońce. Świerkowy las, w którym w tej chwili się znalazł, przeszywały rubinowe strzały światła. Eric kroczył długą, purpurową nawą, iglaste podłoże lekko ugięło się pod jego stopami. Kiedy wyłonił się z lasu, ujrzał zaskakujący widok.

W zasięgu wzroku nie było żadnego domu, ale Eric ujrzał stary sad, najwyraźniej od dawna zaniedbany i opuszczony. Jednak sad nie zamierał tak łatwo, a ten musiał być kiedyś cudowny, i nadal był zachwycający pomimo smętnej aury. Szczególna melancholia osiadała we wszystkich miejscach, które niegdyś były sceną radości, w których mocno biły młode serca i odbijały się echem wesołe głosy. Duchy takich

przeżyć zdają się włóczyć po ulubionych zakątkach przez wiele jałowych lat.

Sad był rozległy, długi, otoczony wałącym się starym płotem z desek wysrebrzonych w słońcu wielu utraconych letnich miesięcy. W regularnych odstępach rosły wzdłuż płotu wysokie jodły, a wieczorny wiatr, wonny niczym wschodnie balsamy, śpiewał w ich wierzchołkach odwieczną pieśń, która potrafi przenieść duszę do zarania dziejów.

Po wschodniej stronie rósł gęsty jodłowy las. Zaczynał się od drobnych drzewinek o pierzastych gałązkach wychylających się z trawy, a potem stopniowo wznosił się aż do wysokiego, równego starodrzewu, który tworzył spadzistą ścianę zieleni tak pięknie zwartej, że wydawało się, jakby jej aksamitna powierzchnia została przyszytych przez artystę.

Większa część sadu była porośnięta bujną trawą, ale na krańcu, gdzie stał Eric, znajdował się kwadratowy placyk bez drzew, gdzie widocznie kiedyś znajdował się przydomowy ogródek. Nadal można było dostrzec stare ścieżki obramowane kamieniami. Rosły tu też dwa krzewy bzu, jeden miał kwiaty ciemnofioletowe, a drugi białe. Pomiędzy nimi znajdowała się rabata „czerwcowych gwiazdek”. Ich słodka woń roznosiła się w wilgotnym powietrzu z każdym powiewem wiatru. Wzdłuż płotu rosły krzewy róż, ale jeszcze nie rozkwitły.

Dalej ciągnął się właściwy sad, czyli rozdzielone zielonymi alejkami trzy długie rzędy drzew, a każde z nich było obsypane cudownym różowym i białym kwieciem.

Jeszcze żadne miejsce nigdy tak Erica nie oczarowało. Nie miał romantycznych skłonności, lecz ten zakątek subtelnie przyciągnął go ku sobie, zawładnął nim. Przez dziurę w płocie młodzieniec wszedł do sadu, bezwiednie idąc na spotkanie tego, co życie miało dla niego w zanadrzu.

Przeszedł przez całą długość sadu środkową alejką pomiędzy długimi, powykręcanyymi gałęziami upstrzonymi delikatnymi różowymi kwiatami. Kiedy doszedł do jego południowego krańca, wyciągnął się na trawie pod płotem, przy którym rósł kolejny krzak bzu, a pod nim paprocie i leśne fiołki. Z tego miejsca Eric dojrzał skrawek domu stojącego w odległości około ćwierci mili, a jego szary dwuspadowy dach wychylał się z ciemnego świerkowego lasu. Domostwo zdawało się

posępne i opuszczone, Eric nie wiedział, kto tam mieszka.

Miał rozległy widok na zachód, gdzie w oddali ujrzał przymglone pola poprzecinane niebieskawymi miedzami. Właśnie zaszło słońce i zielone łąki, które ciągnęły się dalej, pławiły się w złotym świetle. Za długą doliną wypełnioną po brzegi cieniami wznosiły się wyżyny zachodzącego słońca i rozpościerały się szafranowe i różowe niebiańskie jeziora, w których mogła zatopić się dusza. Powietrze ochrzczone rosą było aromatyczne, przenikała je woń mięty zdeptanej przez Erica po drodze. Z okolicznych lasów dobiegały urywane, wyraźne i słodkie pogwizdywania drozdów.

„Tu naprawdę czuć odwieczny spokój – pomyślał Eric, rozglądając się z zachwytem. – Mógłbym tu zasnąć, śnić i mieć różne wizje. Co za niebo! Czy może być coś cudowniejszego niż ten czysty, kryształowy błękit na wschodzie i delikatne, białe obłoczki, które wyglądają jak utkane z koronki? Jak oszałamiająco pachną bzy! Ciekawe, czy można zamroczyć się tym zapachem. No i te jabłonie... ale co to?”

Eric zastygł w bezruchu i zaczął nasłuchiwać. W łagodnej ciszy, zmaconej tylko przez piskliwe nawoływania drozdów i szum wiatru wśród drzew, nadpłynęły dźwięki rozkosznej muzyki, tak pięknej i niesamowitej, że Eric wstrzymał oddech ze zdumienia i zachwytu. Czyżby śnił? Nie, to była prawdziwa muzyka skrzypiec; dźwięki wydobywane z instrumentu ręką natchnioną duchem harmonii. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszał i był niemal pewien, że nikt inny również tego nie doświadczył. Odnosił wrażenie, że ta cudowna melodia przybywa prosto z duszy niewidzialnego skrzypka i po raz pierwszy przekłada się na wyrafinowane tony. Była to jakby dusza muzyki, oczyszczona z tego, co zmysłowe i przyziemne.

Nieuchwytna, przejmująca melodia dziwnie pasowała do tego czasu i miejsca. Słysząc w niej było westchnienie leśnego wiatru, niesamowity szept traw, na które opada rosa, białe myśli „czerwcowych gwiazdek”, wesołość kwiatów jabłoni, echa dawnych śmiechów, pieśni i szlochów rozlegających się niegdyś w tym sadzie, a poza tym był tam tęskny płacz, jakby coś chciało wyrwać się na wolność i wypowiedzieć.

Z początku Eric słuchał, jakby ktoś rzucił na niego czar, w milczeniu i bezruchu, zatracił się w zachwycie. Potem opanowała go

całkiem naturalna ciekawość. Kto w Lindsay mógł tak grać na skrzypcach? I któż grał akurat tutaj, w tym opuszczonym starym sadzie?

Podniósł się i ruszył długą, białą aleją, idąc jak najwolniej i najciszej, by nie przeszkodzić w grze. Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń dawnego ogródka, przystanął w zachwycie i zdziwieniu i znów przyszło mu na myśl, że chyba śni.

Pod wielkim, rozłożystym krzakiem białego bzu stała stara drewniana ławka. Siedziała na niej dziewczyna grająca na skrzypcach. Wpatrzona w odległy horyzont nie zauważyła nadejścia Erica. Przez kilka chwil stał nieruchomo i tylko się przyglądał. Obraz, który miał przed oczami, już na zawsze dokładnie wrył mu się w pamięć. Do ostatnich chwil życia Eric Marshall będzie umiał przypomnieć sobie wyraźnie tę scenę – aksamitny mrok świerkowego lasu, łagodny blask kopuły nieba, rozkołysane lekko kwiaty bzu, a pośród tego wszystkiego dziewczynę na ławce, ze skrzypcami pod brodą.

W swoim dwudziestoczteroletnim życiu spotkał setki miłych dla oka kobiet, wiele ładnych i kilka o wielkiej urodzie. Ale teraz zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział ani nie wyobrażał sobie kogoś tak wyjątkowego jak ta dziewczyna z sadu. Miała tyle niezwykłego uroku, że Ericowi niemal dech zaparło.

Twarz dziewczyny była owalna, a jej rysy, jakby wzięte wprost z kamei, wyrażały czystość, jaką mają oblicza aniołów i Madonn ze starych obrazów, nieskalane tym, co ziemskie. Gęste, kruczoczarne, rozdzielone przedziałkiem włosy opadały w dwóch ciężkich lśniących warkoczach na ramiona. Eric jeszcze nigdy nie widział tak błękitnych oczu. Miały odcień spokojnego morza i łagodnego światła, które pojawia się po pięknym zachodzie słońca. Błyszczały niczym gwiazdy lśniące nad portem Lindsay w zorzy wieczornej i były okolone bardzo długimi, czarnymi jak sadza rzęsami oraz obramowane delikatnymi ciemnymi brwiami. Cera dziewczyny była aksamitna, w odcieniu płatków białej róży. Sukienka bez kołnierzyka z bladoniebieskiego perkalu odsłaniała gładką, smukłą szyję. Rękawy skrzypaczki, podwinięte nad łokcie, ukazywały rękę, która prowadziła smyczek. Dłoń miała chyba najwięcej uroku – doskonała w kształcie, silna i biała, o wąskich palcach i różowych paznokciach. Długi opadający pióropusz kwiatu bzu lekko

muskał włosy dziewczyny i rzucał drżący cień na jej podobną do kwiatu twarz.

Dziewczyna miała w sobie coś dziecinnego, ale przeżyła co najmniej osiemnaście wiosen. Wydawało się, że gra na wpół świadomie, jakby jej myśli bujały w jakiejś odległej krainie marzeń. Nagle odwróciła głowę od horyzontu, za którym skryło się słońce, i spojrzenie jej ślicznych oczu spoczęło na Ericu stojącym nieruchomo w cieniu jabłoni.

Nagła zmiana w jej zachowaniu była porażająca. Skrzypaczka skoczyła na równe nogi, przerywając grę, a smyczek wysunął się jej z ręki i upadł w trawę. Bardzo pobladła i zadrżała jak poruszane wiatrem czerwcowe gwiazdki.

– Bardzo przepraszam – powiedział pospiesznie Eric. – Przykro mi, że panią przestraszyłem. Grała pani tak zachwycająco, że nie pomyślałem, by uprzedzić o swojej obecności. Proszę o wybaczenie.

Przerwał skonsternowany, bo nagle uzmysłowił sobie, że na twarzy dziewczyny maluje się przerażenie. Nie tylko przestach zaskoczonych, nieśmiałej osoby, która sądziła, że jest sama, lecz absolutne przerażenie. Zdradzały je pobladłe i drżące usta, a także szeroko rozwarte niebieskie oczy, które patrzyły na niego jak ślepiec dzikiego zwierzątka pochwyconego we wnyki.

Zabolało go, że jakaś kobieta może tak na niego patrzeć, bo żywił dla kobiet wielką cześć i szacunek.

– Proszę się nie bać – powiedział łagodnie jak do dziecka, myśląc tylko o tym, żeby ją uspokoić. – Nie zrobię pani krzywdy. Jest pani zupełnie bezpieczna.

Pragnąc upewnić ją, że nie ma się czego bać, bezwiednie zrobił krok do przodu. Dziewczyna natychmiast się odwróciła i ruszyła biegiem przez sad, przeskoczyła przez dziurę w płocie i pognąła dróżką na skraju jodłowego lasu, nad którą gałęzie czereśni, mgliście białe w gęstniejącym mroku, tworzyły łuk. Zanim Eric zdołał oprzytomnieć, zniknęła mu z oczu pomiędzy jodłami.

Schylił się i podniósł smyczek, czując się trochę głupio i bardzo nieprzyjemnie.

– Tajemnicza sprawa – mruknął z pewnym zniecierpliwieniem. – Czy to jakieś czary? Kim ona jest? Czy to możliwe, że mieszka

w Lindsay? I dlaczego tak się przeraziła na mój widok? Nigdy nie sądziłem, że jestem szkaradny, ale oczywiście ta przygoda mi nie schlebia. Może zabłąkałem się do zaczarowanego sadu i zostałem zmieniony w potwora. Teraz mam wrażenie, że w tym miejscu jest coś upiornego. Tu wszystko może się zdarzyć. Widać, że to nie jest zwykły sad do uprawy jabłek na sprzedaż. Nie, to nieprzyjemne miejsce i im szybciej się stąd wyniosę, tym lepiej.

Rozejrzał się, uśmiechając do siebie w zadumie. Zmierzch nadciągał szybko i pogrążony w ciszy sad wypełniał się przyczajonymi cieniami. Zdawało się, że mruga zaspanymi oczami i cieszy się jak chochlik z jego konsternacji. Eric odłożył smyczek na ławkę.

– No cóż, nie ma sensu, bym za nią biegł, a w każdym razie nie mam do tego prawa. Ale na pewno wolałbym, żeby nie uciekała z takim przerażeniem. Ma oczy stworzone do tego, by wyrażały czułość i ufność. Dlaczegoż była taka przestraszona? I kimże ona może być?

Przez całą drogę do domu, wiodącą przez pola i pastwiska srebrzące się już w księżycowej poświacie, zastanawiał się nad tą tajemnicą.

– Niech pomyślę... Poprzedniego wieczoru pan Williamson opisywał mi różne dziewczęta z Lindsay. O ile pamiętam, wymienił cztery, które uznał za ślicznotki. Jak one się zwą? Florrie Woods, Melissa Foster, nie, Melisa Palmer, Emma Scott i Jennie May Ferguson. Czy może być jedną z nich? Nie, takie przypuszczenia to zawracanie głowy i strata czasu. Ta dziewczyna nie może być Florrie, Melissą ani Emmą, a Jenny May to już zupełnie odpada. Chyba stoją za tym jakieś czary, więc lepiej będzie, jeśli o wszystkim zapomnę.

Jednak Eric przekonał się, że nie potrafi. Im bardziej starał się zapomnieć, tym wyraźniej i uporczywiej pamiętał. Niezwykła twarz dziewczyny wciąż powracała w myślach, a tajemnica jej pochodzenia go nękała.

Oczywiście wiedział, że najprościej byłoby spytać o zjawę z sadu Williamsonów. Jednak, o dziwo, wzdrygał się przed tym. Czuł, że nie jest w stanie zapytać Roberta o dziewczynę i narazić się na zalew plotek dotyczących jej samej i wszystkich przodków oraz krewnych trzy pokolenia wstecz. Jeśli już ma kogoś spytać, niech to będzie pani

Williamson, ale najpierw chciał spróbować sam odkryć tajemnicę.

Następnego wieczoru zamierzał pójść do portu. Jeden z rybaków obiecał zabrać go na połów dorszy. Zrezygnował z tego jednak i znów powędrował na południowy zachód przez pola.

Z łatwością trafił do sadu – choć niemal spodziewał się, że go nie znajdzie. A jednak znów ujrzał ten pachnący, trawiasty, wietrzny zakątek. Nikogo tam nie zastał, ale smyczek zniknął z ławki.

„Może wróciła tu po niego w świetle księżycy – pomyślał Eric, puszczając wodze fantazji, a ta wyczarowała wizję gibkiej dziewczyny, która skrada się z bijącym sercem w cieniu przetykanym poświatą księżycy. – Ciekawe, czy przyjdzie tego wieczoru, czy też odstraszyłem ją na zawsze. Schowam się w tym świerkowym zagajniku i zaczekam”.

Eric czekał aż do zmroku, ale w sadzie nie zabrzmiała muzyka ani nikt tam nie przyszedł. Siła rozczarowania, jakie odczuł, bardzo go zdziwiła, a nawet zaniepokoiła. To przecież absurd, przejmować się tym, że nie pojawiła się jakaś dziewczyna, którą widział wcześniej zaledwie przez pięć minut. Gdzie się podział jego zdrowy rozsądek, jego „olej w głowie”, cytując Roberta Williamsona? Oczywiście każdy mężczyzna lubi sobie popatrzeć na ładną buzię. Ale czy to tłumaczy, dlaczego teraz czuł się tak, jakby życie straciło urok, stało się bezbarwne i jałowe tylko dlatego, że nie może na nią popatrzeć? Wyrzucając sobie, że jest głupcem, wrócił rozdrażniony do domu. Kiedy tam dotarł, zabrał się gorączkowo do rozwiązywania równań algebraicznych i kreślenia zadań geometrycznych, aby natychmiast wyrugować z głowy wszystkie ciche wyobrażenia o zaczarowanym sadzie, białym w blasku księżycy, i baśniowej muzyce rozchodzącej się po jego długich arkadach.

Następnego dnia wypadła niedziela i Eric aż dwa razy poszedł do kościoła. Ławka Williamsonów znajdowała się z boku, więc ci, którzy ją zajmowali, siedzieli właściwie zwrócenymi twarzami do zebranych. Eric przyglądał się wszystkim dziewczynom i kobietom zebranim w kościele, ale nie wypatrzył twarzy, która, wbrew silnej woli i zdrowemu rozsądkowi, wciąż powracała w jego myślach.

Obecny w kościele Thomas Gordon siedział sam w długiej, pustej ławce z przodu kościoła, a Neil Gordon śpiewał w chórze, który zajmował przednią ławę empory. Jego mocny, wyrazisty, choć

niewyćwiczony głos zagłuszał bezbarwnych śpiewaków. Chłopak miał na sobie porządny garnitur z granatowej serży, białą koszulę i krawat. Jednak Ericowi przemknęło przez myśl, że ten strój nie pasuje do niego tak dobrze jak robocze ubranie, w którym ujrzał go po raz pierwszy. Wydawał się zbyt wystrojony, szorstki i jeszcze bardziej odstawał od otoczenia.

Przez dwa dni Eric nie pozwalał sobie na myślenie o sędzie. W poniedziałkowy wieczór wybrał się na połów dorszy, a we wtorkowy na partyjkę szachów z Alexandrem Tracym. Alexander wygrał wszystkie partie z taką łatwością, że całkiem stracił szacunek dla Erica Marshalla.

– Grał, jakby cały czas bujał w obłokach – poskarżył się żonie. – Nie nadaje się na szachistę.



6 DZIEJE KILMENY

W ŚRODOWY WIECZÓR Eric znów udał się do sadu i ponownie spotkało go rozczarowanie. Wrócił do domu z twardym postanowieniem, że rozwiąże zagadkę, pytając wprost. Los mu sprzyjał, bo zastał panią Williamson samą. Siedziała przy zachodnim oknie kuchni i robiła na drutach szarą skarpetę, nucąc coś sobie pod nosem, a Timothy zwinął się w czarny kłębek u jej stóp. Spojrzała na Erica z czułością. Lubiła pana Westa, ale Eric podbił jej serce, bo miał takie same oczy jak synek, którego pochowała niegdyś na cmentarzu w Lindsay.

– Pani Williamson – zaczął Eryk, siląc się na obojętny ton. – W zeszłym tygodniu natknąłem się przypadkiem na stary opuszczony sad za lasem, czarujący dziki zakątek. Wie pani może, do kogo należy?

– To pewnie stary sad Connorów – odpowiedziała po namyśle pani Williamson. – Zupełnie o nim zapomniałam. Minęło już pewnie ze trzydzieści lat od czasu, gdy Connorowie się stamtąd wyprowadzili. Ich dom i budynki gospodarcze się spaliły, więc sprzedali ziemię Thomasowi Gordonowi i przenieśli się do miasta. Teraz już oboje nie żyją. Pan Connor bardzo chlubił się swoim sadem. Wtedy jeszcze nie było w Lindsay wielu sadów, choć teraz prawie wszyscy je mają.

– Była tam dziewczyna, która grała na skrzypcach – powiedział Eric, rozdrażniony odkryciem, że mówienie o niej przychodziło mu z trudem, a do tego jeszcze oblał się rumieńcem. – Uciekła z przerażeniem, gdy tylko mnie zobaczyła, chociaż nie sądzę, abym

zrobił albo powiedział coś, co mogło ją wystraszyć czy zdenerwować. Nie mam pojęcia, kto to był. A pani?

Pani Williamson milczała przez chwilę. Odłożyła robótkę i wyjrzała przez okno, zastanawiając się nad czymś z powagą. Wreszcie, z ożywieniem w głosie, powiedziała:

– To zapewne Kilmeny Gordon.

– Kilmeny Gordon? Chodzi pani o siostrzenicę Thomasa Gordona, o której wspomniał pani mąż?

– Tak.

– Trudno uwierzyć, że dziewczyna, którą widziałem, może należeć do tej rodziny.

– Jeśli to nie Kilmeny Gordon, w takim razie nie wiem kto. W pobliżu sadu nie ma innych domów, a poza tym słyszałam, że ona gra na skrzypcach. Jeżeli to jednak była Kilmeny, to jest pan jednym z niewielu ludzi z Lindsay, którzy ją widzieli. A ci nieliczni zdołali tylko zerknąć na nią z oddali. Ja sama nigdy nie miałam okazji. Nic dziwnego, że uciekła, biedactwo. Nie przywykła do obcych.

– Cieszę się, że to mógł być jedyny powód jej ucieczki – odpowiedział Eric. – Nie chciałbym żadnej dziewczynie napędzić takiego strachu jak tamtej. Zbladła i z przerażenia nie wyjąkała nawet słowa, tylko uciekła niby spłoszona sarenka.

– I tak by nie mogła nic powiedzieć – odparła cicho pani Williamson. – Kilmeny Gordon jest niema.

Eric milczał przez chwilę skonsternowany. Ta piękna istota dotknięta taką ułomnością. To straszne! Oprócz konsternacji odczuł też dziwne ukłucie żalu i rozczarowania.

– W takim razie to nie mogła być Kilmeny Gordon – zaoponował wreszcie, coś sobie przypomniawszy. – Dziewczyna, którą widziałem, przepięknie grała na skrzypcach. Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem. Niemożliwe, by osoba głuchoniema tak grała.

– Ależ ona wcale nie jest głucha – odpowiedziała pani Williamson, uważnie się przyglądając Ericowi zza okularów. Wzięła robótkę i wróciła do dziergania. – To dziwna sprawa, choć właściwie wszystko, co dotyczy tej dziewczyny, jest dziwne. Ona całkiem dobrze słyszy i rozumie wszystko, co się do niej mówi. Jednak nie potrafi

wypowiedzieć nawet słowa, i zawsze tak było, a przynajmniej tak ludzie gadają. Prawda jest taka, że nikt zbyt wiele o niej nie wie. Janet i Thomas nigdy o niej nie rozmawiają, Neil również. Zapewniam pana, że wielu próbowało ciągnąć go za język, ale na próżno, poza tym zawsze się złości, kiedy ktoś o Kilmeny wypytuje.

– Dlaczego się o niej nie mówi? – spytał niecierpliwie Eric. – Kryje się za tym jakaś tajemnica?

– To smutna historia. Gordonowie sądzą chyba, że przynosi im hańbę. Co do mnie, uważam, że to straszne, jak ją wychowano. No, ale Gordonowie są bardzo dziwnymi ludźmi. Wprawdzie złałam męża, kiedy tak powiedział, ale to prawda. Postępują zupełnie inaczej niż wszyscy. Ale naprawdę widział pan Kilmeny? Jak wygląda? Słyszałam, że jest ładna. Czy to prawda?

– Wydała mi się bardzo piękna – odparł sucho Eric. – Ale jak ją wychowano, pani Williamson? I dlaczego?

– No cóż, nie ma powodu, bym ukrywała przed panem tę historię. Kilmeny jest siostrzenicą Thomasa i Janet Gordonów. Jej matką była Margaret Gordon, ich młodsza siostra. Stary James Gordon przybył ze Szkocji. Janet i Thomas urodzili się jeszcze w starym kraju i przyjechali tu jako małe dzieci. Gordonowie nigdy nie byli towarzyscy, ale czasem kogoś odwiedzali, a sąsiedzi też do nich zaglądali. Byli dobrymi i uczciwymi ludźmi, nawet jeśli mieli różne dziwactwa.

Pani Gordon zmarła kilka lat po przybyciu, a cztery lata po jej śmierci James pojechał do Szkocji i przywiózł sobie nową żonę; sporo młodszą, a także bardzo piękną, jak powtarzała mi nieraz matka. Nowa żona była przyjazna, wesoła, lubiła towarzystwo. Po jej przybyciu dom Gordonów zupełnie się zmienił, nawet Janet i Thomas jakby odtajali, zmiękli. Słyszałam, że byli bardzo przywiązani do macochy. A potem, sześć lat po ślubie, druga pani Gordon również zmarła. Stało się to, kiedy rodziła Margaret. James Gordon niemal całkiem się po tym załamał.

Margaret została wychowana przez Janet. Ona i Thomas uwielbiali dziecko, taka samo ich ojciec. Kiedyś dobrze znałam Margaret Gordon. Byłyśmy w tym samym wieku i w szkole siedziałyśmy razem w ławce. Przyjaźniłyśmy się bardzo, dopóki nie zwróciła się przeciw całemu

światu.

Jednak jeszcze zanim to nastąpiło, była dziwną dziewczyną. Mimo to zawsze ją lubiłam, choć wielu ludzi jej nie znosiło. Miała zajadłych wrogów, ale również oddanych przyjaciół. Taka już była. Sprawiała, że ludzie albo ją kochali, albo nienawidzili. Ale ci, którzy ją kochali, poszliby za nią w ogień.

Kiedy dorosła, stała się piękną. Była wysoka i urodziwa niby jakaś królowa z grubymi czarnymi warkoczami, rumianymi policzkami i czerwonymi ustami. Przyciągała wzrok i myślę, że przez tę urodę nieco jej się przewróciło w głowie. Była też dumna, i to bardzo. Zawsze chciała najlepiej wypaść i pokazać się od najlepszej strony. Cechował ją wielki upór. Gdy coś sobie wbiła do głowy, nie dało się jej od tego odwieść. Jednak była uczuciowa i wspaniałomyślna. Śpiewała jak anioł i była bardzo inteligentna. Wystarczyło jej raz zajrzeć do książki, by się czegoś nauczyć, uwielbiała czytać.

Kiedy tak o niej opowiadam, przypominam sobie, jaka była, jak wyglądała, mówiła i jak się zachowywała, widzę różne jej gesty, jak poruszała głowę. Zdaje mi się prawie, jakby była w tym pokoju, a nie tam, na cmentarzu. Wolałabym, żeby zapalił pan światło. Trochę się zdenerwowałam.

Eric wstał i zapalił lampę, zdziwiony tym niezwykłym wybuchem uczuć pani Williamson. Przeważnie była bardzo spokojna i opanowana.

– Dziękuję, panie Ericu. Tak jest lepiej. Nie będę sobie teraz wyobrażać, że Margaret Gordon jest tutaj i przysłuchuje się temu, co mówię. Przed chwilą takie właśnie miałam wrażenie.

Pewnie pan myśli, że się rozgadałam, zamiast opowiedzieć o Kilmeny, ale już do tego dochodzę. Nie zmierzałam mówić aż tyle o Margaret, ale moje myśli zaczęły wokół niej krążyć. Tak więc Margaret zdała do Akademii Królewskiej i zdobyła dyplom nauczycielski. Ukończyła uczelnię z niezłą lokatą, ale Janet mówiła mi, że Margaret płakała przez całą noc, kiedy przyszły końcowe wyniki, bo okazało się, że byli lepsi od niej. Zaczęła nauczać w szkole w Radnor. Tam poznała niejakiego Ronalda Frasera. Margaret nigdy wcześniej nie miała kawalera. Mogłaby zdobyć każdego młodego mężczyznę z Lindsay, gdyby tylko zechciała, ale na żadnego nie zwracała uwagi.

Zdaniem ludzi zadzierała nosa, ale wcale nie o to chodziło. Wiem, bo dużo rozmawialiśmy z Margaret, jak to dziewczyny. Uważała, że nie ma sensu spotykać się z kimś, kto nie jest dla niej naprawdę ważny. A w Lindsay nie było chłopaka, na którym by jej zależało. Ten Ronald Fraser przybył z Nowej Szkocji i niewiele o nim wiadano. Mimo młodego wieku był już wdowcem. Prowadził sklep w Radnor i dobrze mu szło. Był bardzo przystojny i miły. Ponoć wszystkie dziewczęta z Radnor się w nim kochały, ale nie sądzę, by nawet najgorszy wróg mógł mu zarzucić, że z nimi flirtował. Wcale nie zwracał na nie uwagi, ale gdy tylko ujrzał Margaret Gordon, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, z wzajemnością. W następną niedzielę przyszli razem do kościoła w Lindsay i wszyscy mówili, że będzie z nich para. Margaret wyglądała tego dnia prześlicznie, bardzo łagodnie i kobieco. Zwykła nosić głowę bardzo wysoko, ale tego dnia nieco ją spuściła, tak samo jak czarne oczy. Ronald Fraser był bardzo wysoki i jasnowłosy, o niebieskich oczach. Nigdy nie widziałam tak ładnej pary. Lecz stary James Gordon, Thomas i Janet go nie akceptowali. Widziałam to wyraźnie w pewien piątkowy wieczór, kiedy u nich byłam, a Ronald odwiózł Margaret z Radnor do domu. Sądzę jednak, że żaden zalotnik Margaret by im się nie spodobał. Uważali, że nikt nie jest jej wart. Mimo to Margaret przez cały czas ich urabiała. Potrafiła owinąć sobie opiekunów wokół palca, tak ją uwielbiali i byli z niej dumni. Ojciec sprzeciwiał się najdłużej, ale w końcu się poddał i pozwolił jej wyjść za Ronalda Frasera. Wyprawili huczne wesele i zaproszono wszystkich sąsiadów. Margaret zawsze lubiła się pokazać. Byłam jej druhną, panie Ericu. Pomagałam jej się ubrać, ale wciąż wydziwiała, tak bardzo zależało jej na tym, by pięknie wyglądać dla Ronalda. Była prześliczną panną młodą, ubraną na biało, z czerwonymi różami we włosach i przy dekolcie. Nie chciała białych kwiatów, mówiła, że za bardzo przypominają te pogrzebowe. Była śliczna niczym z obrazka. Mam ją teraz przed oczami, bardzo wyraźnie, tak jak wyglądała tego wieczoru, kiedy to rumieniąc się, to znów blednąc, patrzyła na Ronalda zakochanymi oczami. Margaret Gordon kochała tego mężczyznę z całej duszy. Niemal mnie to przeraziło. Wielbiła go tak, jak wolno czcić tylko Boga, i myślę, że za coś takiego zawsze spotyka człowieka kara.

Zamieszkali w Radnor i przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Margaret miała ładny dom, była wesoła i szczęśliwa. Pięknie się ubierała i często zapraszała gości. Nagle Ronalda Frasera odszukała jego pierwsza żona. Okazało się, że wcale nie umarła. Wybuchł straszliwy skandal. Było wiele gadania, krążyły okropne plotki. Każdy opowiadał co innego i trudno było dotrzeć do prawdy. Niektórzy twierdzili, że Ronald Fraser przez cały czas wiedział, że jego żona żyje, i oszukiwał Margaret. Ale ja tak nie sądzę. Przysięgał, że to nieprawda. Zdaje się, że nie byli ze sobą szczęśliwi. Jej matka jątrzyła między nimi. Kiedyś ta żona pojechała w odwiedziny do matki w Montrealu i umarła w tamtejszym szpitalu, a przynajmniej takie wieści dotarły do Ronalda. Może uwierzył w nie zbyt skwapliwie, ale nigdy nie wątpiłam w to, że był o tym przekonany. Ona twierdziła, że chodziło o kobietę, która tak samo się nazywała. Kiedy się dowiedziała, że Ronald uważa ją za zmarłą, postanowiły z matką, że nie będą wyprowadzać go z błędu. Jednak kiedy usłyszała, że Ronald się ponownie ożenił, pomyślała, że lepiej będzie, jeśli wyjawি mu prawdę. Wszystko to brzmiało dziwnie i moim zdaniem trudno winić ludzi, że nie chcieli wierzyć w tę historię. Ale ja zawsze czułam, że to prawda. Jednak Margaret tak nie sądziła. Uważała, że Ronald Fraser ją oszukał, wiedząc przez cały czas, że nie może się z nią ożenić. Zwróciła się przeciwko niemu i nienawidziła go z taką samą siłą, z jaką go wcześniej kochała. Ronald Fraser odjechał ze swoją prawną żoną i nie minął rok, gdy nadeszła wiadomość o jego śmierci. Powiadano, że umarł, bo miał złamane serce. Margaret wróciła do swego ojca. Od chwili, gdy przestąpiła próg domu rodzinnego, nigdy go już nie opuściła, do czasu gdy wyniesiono ją w trumnie przed trzema laty. Nikt spoza najbliższej rodziny ani razu już jej nie widział. Poszłam kiedyś się z nią zobaczyć, ale Janet powiedziała, że Margaret sobie tego nie życzy. To było głupie, że tak się zachowywała. Przecież nic złego nie zrobiła i wszystkim było jej żal, chętnie by pomogli. Jednak sądzę, że litość raniła ją bardziej, niż mogłoby to zrobić poczucie winy, a może nawet dotkliwiej, bo była tak dumna, że nie mogła jej znieść. Mówiono, że ojciec również traktował ją surowo, co było niesprawiedliwe, o ile to w ogóle prawda. Janet i Thomas też uważali, że spotkała ich hańba. Ludzie, którzy dawniej odwiedzali Gordonów, przestali przychodzić, bo

czuli, że nie są mile widziani. Stary James Gordon umarł tej zimy. Po skandalu już nigdy nie chodził z podniesionym czołem. Był w radzie parafialnej, ale od razu złożył rezygnację, i nikt nie mógł go przekonać, by ją wycofał.

Kilmeny urodziła się na wiosnę, ale nikt jej nigdy nie widział oprócz pastora, który ją ochrzcił. Nigdy nie zabierano jej do kościoła ani nie posyłano do szkoły. Oczywiście pewnie nie miałyby to sensu, skoro nie umiała mówić, a Margaret prawdopodobnie sama uczyła ją wszystkiego, co się dało. Jednak to okropne, że nigdy nie prowadzono jej do kościoła ani nie pozwalano zadawać się z dziećmi i młodzieżą. I naprawdę wielka szkoda, że nigdy nie zrobiono nic, by się dowiedzieć, dlaczego nie mówi, i czy to da się wyleczyć.

Margaret Gordon zmarła przed trzema laty i wszyscy ludzie z Lindsay poszli na jej pogrzeb. Ale jej nie widzieli. Wieko trumny było zabite. Kilmeny też się nie pokazała. Bardzo chętnie bym ją zobaczyła, ze względu na jej matkę, ale nieszczęsnej Margaret nie chciałam oglądać. Nigdy jej nie widziałam od wesela, bo zaraz po nim wyjechałam dokądś z wizytą, a kiedy wróciłam, wybuchł ten okropny skandal. Zapamiętałam dumną Margaret w całej krasie i nie zniósłabym widoku jej martwej twarzy, nie chciałam patrzeć na zmiany, które zapewne nastąpiły.

Sądono, że po śmierci matki Janet i Thomas pozwolą Kilmeny wyjść do ludzi, ale tak się nie stało. Przypuszczam, że podchodzą do jej wychowania podobnie jak Margaret. Żal mi tej biednej dziewczyny i myślę, że krewni źle wobec niej postępowali, nawet jeśli jest pod jakimś względem upośledzona. Musi wieść bardzo smutne, samotne życie. Taka to historia, i pewnie pan myśli, że za bardzo się rozgadałam. Jednak kiedy opowiadałam, przeszłość stała mi żywo przed oczami. Jeśli pan nie chce, żeby zadręczano pana pytaniami o Kilmeny Gordon, niech pan lepiej nikomu nie mówi, że ją widział.

Eric wcale się do tego nie kwapił. Usłyszał wszystko, co chciał, a nawet więcej.

„A więc ta dziewczyna jest owocem tragedii – pomyślał, idąc do swego pokoju. – A w dodatku niemową! Jaka szkoda! Kilmeny! To imię do niej pasuje. Jest piękna i niewinna jak bohaterka starej ballady⁵.

«Jakże cudną jawiła się Kilmeny». Jednak następna linijka już nie pasuje, bo jej «wejrzenie» wcale nie było «spokojne i baczne» , kiedy mnie zauważyła”.

Próbował wyrzucić ją z myśli, ale mu się nie udało. Wspomnienie pięknej twarzy dziewczyny powracało z siłą, której nie mógł się oprzeć. Następnego wieczoru znów udał się do sadu.



7 CZAR KOBIECOŚCI

KIEDY WYNURZYŁ SIĘ ze świerkowego zagajnika i wszedł do sadu, serce zabiło mu mocniej i poczuł, że się rumieni. Ona tam była, pochylała się nad rabatą „czerwcowych gwiazdek” pośrodku dawnego ogródka. Widział jedynie jej dziewczęcy profil.

Zatrzymał się, aby jej znów nie wystraszyć. Kiedy podniosła głowę, spodziewał się, że natychmiast przed nim ucieknie, ale tak się nie stało. Dziewczyna jedynie nieco pobladła i stała nieruchomo, bardzo uważnie mu się przyglądając.

Kiedy to zobaczył, ruszył wolno w stronę Kilmeny, a kiedy zbliżył się na tyle, że słyszał jej urywany oddech, powiedział łagodnym tonem:

– Proszę się nie bać. Mam przyjazne zamiary, nie chcę pani przeszkadzać ani się naprzykrzać.

Wahała się przez chwilę, po czym podniosła notesik, który wisiał przy jej pasku, napisała coś szybko i podetknęła Ericowi. Przeczytał słowa wypisane drobnym, wyraźnym pismem.

„Teraz się pana nie boję. Matka mówiła mi, że wszyscy obcy mężczyźni są podli i niebezpieczni, ale sądzę, że pan taki nie jest. Dużo o panu myślałam i przykro mi, że tamtego wieczoru uciekałam”.

Uzmysłowił sobie całą jej niewinność i prostotę. Patrząc szczerze w nieco jeszcze niespokojne oczy dziewczyny, powiedział:

– Za nic w świecie bym pani nie skrzywdził. Nie wszyscy mężczyźni są podli, choć zdarzają się i tacy. Nazywam się Eric Marshall

i uczę w szkole w Lindsay. A pani jest pewnie Kilmeny Gordon. Tak pięknie pani wtedy grała, że marzyłem, by znów móc to usłyszeć. Czy zagra pani dla mnie?

Ostatni ślad lęku znikł z błękitnych oczu dziewczyny. Uśmiechnęła się nagle. Był to wesoły, dziewczęcy, zniewalający uśmiech, który zmącił spokój jej twarzy jak promyk słońca pomykający po tafli wody. Potem w notesiku napisała:

„Bardzo mi przykro, ale nie mogę dziś zagrać. Nie wzięłam ze sobą skrzypiec. Ale przyniosę je jutrzejszego wieczoru i zagram dla pana, jeśli zechce mnie pan posłuchać. Chciałabym zrobić panu przyjemność”.

I znów ten niewinny, szczerzy ton! „Ależ ona jest niczym dziecko – pomyślał Eric. – Piękne, niewinne dziecko, które nie potrafi ukrywać swych uczuć! Lecz czemu miałyby je ukrywać? Były tak samo czyste i piękne jak ona”. Odwzajemnił się równie szczerym uśmiechem.

– Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo tego pragnę, i na pewno przyjdę jutro wieczorem, jeśli pogoda dopisze. Jednak jeżeli będzie mokro i nieprzyjemnie, proszę się nie fatygować. Spotkamy się pojutrze. A teraz, czy może pani zerwać dla mnie parę kwiatów?

Skinęła głową i znów lekko się uśmiechnęła, po czym zaczęła zrywać „czerwcowe gwiazdki”, starannie wybierając najładniejsze. Z zachwytem śledził jej zwinne ruchy, każdy gest wydawał mu się poetyczny. Wyglądała jak uosobienie wiosny. Ucieleśniała szmer młodych liści, blask poranków i ulotną słodycz kwiatów z tysiąca wiosen.

Kiedy podeszła do niego z naręczem kwiatów, przypomniał mu się fragment wiersza ulubionego poety.

Już wychyla się nieśmiało z pąka

Biały kwiat muśnięty czerwienią.

Dziewczę przy kapliczce klęka.

Wiem, że mój los wnet się odmieni⁶.

Jednak natychmiast zgromił siebie za te głupie myśli. Przecież ona

jest tylko dzieckiem, w dodatku została oddzielona od ludzi z powodu swojej ułomności.

– Dziękuję – powiedział. – Te, jak to mówią, czerwcowe gwiazdki to najśłodsze kwiaty, jakie kwitną na wiosnę. Czy wie pani, że naprawdę nazywają się białe narcyzy?

Wydawała się zadowolona i zainteresowana.

„Nie, nie wiedziałam – odpisała. – Czytałam gdzieś o białych narcyzach i zastanawiałam się, jak wyglądają. Nie wiedziałam, że chodzi o moje kochane «czerwcowe gwiazdki». Cieszę się, że mi pan o tym powiedział. Bardzo lubię kwiaty. To moi przyjaciele”.

– Nic dziwnego, jest pani do nich podobna – powiedział Eric. – Proszę usiąść na ławce, jak tego wieczoru, gdy panią tak bardzo wystraszyłem. Nie miałem pojęcia, kim pani jest, skąd się pani wzięła. Czasem myślałem, że to był tylko sen. – A pod nosem dodał, tak że nie usłyszała: – Nie potrafiłbym wymarzyć sobie czegoś tak pięknego.

Usiadła obok niego na ławce i spojrzała mu śmiało w twarz. W oczach dziewczyny nie było zuchwałości, jedynie dziecięca ufność. Gdyby w jego sercu czały się jakieś złe myśli, do których bałby się przyznać, te oczy by je wypatrzyły i wypłoszyły. Jednak mógł bez obawy odwzajemnić spojrzenie. Później napisała:

„Bardzo się przestraszyłam. Pewnie pomyślał pan, że jestem niemądra, ale nigdy nie widziałam żadnego mężczyzny oprócz wuja Thomasa, Neila i handlarza, który przynosi nam jajka. A pan jest inny niż oni, zupełnie inny. Bałam się tu wrócić następnego wieczoru. A jednak jakoś mnie ciągnęło. Nie chciałam, by pan pomyślał, że nie umiem się zachować. Rankiem wysłałam Neila po smyczek. Nie mogłam się bez niego obejść. Jestem niema. Czy to dla pana przykre?”.

– Jest mi przykro tylko ze względu na panią.

„No tak, ale chodzi mi o to, czy lubiłby pan mnie bardziej, gdybym mogła mówić jak wszyscy?”.

– Nie, to mi nie sprawia różnicy, Kilmeny. Czy mogę tak się do pani zwracać?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i odpisała:

„A jak inaczej? Tak mam na imię. Wszyscy tak do mnie mówią”.

– Ale ja jestem dla pani obcy, więc może woli pani formę „panno

Gordon”?

„Och, nie, tak bym nie chciała – odpisała szybko, z zaniepokojoną minką. – Nikt tak się do mnie nie zwraca. Nie czułabym się wtedy sobą. A pan wcale nie wydaje mi się obcy. Czy jest jakiś powód, dla którego nie powinien pan nazywać mnie Kilmeny?”

– Ależ skąd. To śliczne imię, bardzo do pani pasuje.

„Cieszę się, że się panu podoba. Dostałam je po babce, a ona po dziewczynie z wiersza. Cioci Janet nigdy się to imię nie podobało, chociaż lubiła babcię. Cieszę się jednak, że pan polubił i moje imię, i mnie. Bałam się, że będzie panu przeszkadzało, że jestem niema”.

– Może pani przemawiać muzyką, Kilmeny.

Wyglądała na zadowoloną.

„Widzę, że mnie pan rozumie – napisała. – Tak, nie mogę mówić ani śpiewać jak inni ludzie, ale mogę sprawić, by moje skrzypce mówiły za mnie”.

– Czy komponuje pani własną muzykę? – spytał, lecz zorientował się, że dziewczyna nie zrozumiała. – Chodzi mi o to, czy ktoś panią nauczył tej melodii, którą grała pani tamtego wieczoru?

„Och, nie. Sama do mnie przyszła, kiedy rozmyślałam. Zawsze tak miałam. Kiedy byłam mała, Neil pokazał mi, jak trzymać skrzypce i smyczek, a reszty sama się nauczyłam. Moje skrzypce kiedyś należały do Neila, ale mi je oddał. Neil jest dla mnie bardzo dobry, ale wolę pana. Proszę mi o sobie opowiedzieć”.

Z każdą kolejną chwilą Eric był coraz bardziej zachwycony dziewczyną. „Jakaż ona śliczna!” – myślał. Miała czarujący sposób bycia, jej miny i gesty robiły tym większe wrażenie, że były naturalne, niewystudiowane. Niemota zdawała się w ogóle bez znaczenia. Kilmeny pisała szybko i płynnie, miała tak żywą mimikę, wyraziste oczy i uśmiech, że prawie się nie odczuwało braku jej głosu.

Zabawili w sadzie do późna, aż wreszcie długie, rozłożyste cienie drzew przypelzły im do stóp. Właśnie zaszło słońce i odległe wzgórza spurpurowiały na tle rozmytego szafranowego nieba na zachodzie i wciąż krystalicznie błękitnego na południu. Na wschodzie, tuż nad jodłowym lasem wznosiły się białe obłoki spiętrzone wysoko niby śnieżne góry, a najbardziej wysunięte na zachód odbijały różową

poświatę, jaką widuje się podczas zachodów słońca na alpejskich szczytach.

Wyżej niebo było nadal jasne – pełne doskonałego światła nieskażonego ziemskimi cieniami. Jednak w sadzie i pod świerkami ścielił się już zielonawy, mokry od rosy zmierzch, który był przepojony rozkoszną wonią kwiatów jabłoni i mięty, balsamicznym aromatem jodeł.

Eric opowiadał Kilmeny o swoim życiu i o miastach, których była ciekawa jak dziecko. Zadawała mu wiele pytań na ten temat – bezpośrednich i wnikliwych, świadczących o tym, że ma zdecydowane opinie i poglądy. Było też jasne, że nie widzi w tym świecie miejsca dla siebie. Okazywała jedynie obojętne zainteresowanie, z jakim mogłaby słuchać o jakiejś baśniowej krainie albo wielkim, nieistniejącym już od dawna imperium.

Eric odkrył, że przeczytała wiele utworów poetyckich, książek historycznych oraz kilka biograficznych i podróżniczych. Nie wiedziała, co to znaczy powieść i nigdy żadnej nie czytała. O dziwo, dobrze się orientowała w polityce i bieżących wydarzeniach, bo czytywała tygodnik prenumerowany przez wuja.

„Za życia matki nigdy nie czytałam gazety – napisała. – Ani żadnych wierszy. Nauczyła mnie pisać i czytać. Kilka razy przeczytałam całą Biblię, a także różne książki historyczne. Po śmierci mamy ciocia Janet dała mi jej wszystkie książki. Miała ich wiele. Większość dostała jako nagrody szkolne, a niektóre od mojego ojca. Czy zna pan historię moich rodziców?”

Eric przytaknął.

– Tak, opowiedziała mi ją pani Williamson. Przyjaźniła się z pani matką.

„Cieszę się, że pan ją słyszał. Jest tak smutna, że nie chciałabym jej opowiadać, ale znając ją, lepiej pan zrozumie moją sytuację. Ja poznałam ją dopiero tuż przed śmiercią mamy. Wtedy opowiedziała mi całą prawdę. Myślę, że obwiniała o wszystko ojca, ale zanim umarła, przyznała, że była wobec niego niesprawiedliwa, bo on nic nie wiedział. Powiedziała, że na łożu śmierci ludzie mają lepszy ogląd spraw, a ona rozumiała, że myliła się co do ojca. Dodała, że chce mi powiedzieć

jeszcze wiele rzeczy, ale nie zdążyła tego zrobić, bo zmarła w nocy. Minęło wiele czasu, nim zdobyłam się na czytanie jej książek. Jednak wtedy uznałam, że są piękne. To była poezja, a więc jakby muzyka pochwycona w słowa”.

– Przyniosę pani coś do czytania, jeśli pani chce – zaproponował Eric.

Jej wielkie niebieskie oczy rozbłysły zainteresowaniem i zachwytem.

„Och, dziękuję, bardzo chętnie. Czytałam moje już tyle razy, że znam je prawie na pamięć. Piękne rzeczy nie nużą, ale chciałabym poznać również nowe książki”.

– Czy nigdy nie czuje się pani samotna, Kilmeny?

„Nie, dlaczego? Zawsze mam mnóstwo do roboty, kiedy pomagam cioci Janet w domu. Potrafię robić wiele rzeczy. – Zerknęła na niego z dumą, a jej ołówek dalej ścigał słowa. – Umiem gotować i szyć. Ciocia Janet mówi, że jestem bardzo dobrą gospodynią, a ona nie jest skora do pochwał. A kiedy nie pomagam cioci, gram na swoich ukochanych skrzypcach. Innego towarzystwa nie potrzebuję. Ale lubię też czytać i słuchać o odległym, wielkim świecie, o ludziach, którzy tam żyją i ich sprawach. Tam musi być wspaniale”.

– A czy nie chciałaby pani sama zobaczyć tego świata, poznać tych ludzi? – spytał z uśmiechem.

Od razu zauważył, że nie wie, czemu zrobił jej przykrość. Chwyliła ołówek i odpisała tak szybko i energicznie, że miał wrażenie, jakby wykrzyczała te słowa:

„Nie, nie, nie! Nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Nie chcę widzieć obcych ani się im pokazywać. Nie zniosłabym tego”.

Pomyślał, że jej opory związane są z jej ułomnością. Jednak wydawało mu się, że dziewczyna nie jest przewrażliwiona na tym punkcie, zresztą kiedy pisała, często rzucała niedbałe uwagi na ten temat. A może przytłaczał ją fakt jej pochodzenia. Jednak była tak niewinna, że mało prawdopodobne, by rozumiała, co się za tym kryje. Eric uznał w końcu, że chodzi o chorobliwe wycofanie wrażliwej młodej osoby, którą wychowano w niewłaściwy i nienaturalny sposób. Wreszcie wydłużające się cienie upomniały go, że czas już iść.

– Proszę nie zapomnieć przyjść jutro dla mnie zagrać – powiedział i niechętnie podniósł się z ławki.

Odpowiedziała skinieniem czarnej główki i wymownym uśmiechem. Patrzył, jak idzie przez sad. Piękna niczym księżyc i gładko jak on sunęła obok kwitnących czereśni. Przy jodłowym zagajniku przystanęła i zanim tam skręciła, pomachała Ericowi.

Kiedy wszedł do domu, Robert Williamson jadł właśnie w kuchni chleb, który popijał mlekiem. Uniósł wzrok i uśmiechnął się przyjaźnie na widok pogwizdującego Erica.

– Był pan na spacerze? – spytał.

– Tak – odpowiedział Eric.

Bezwiednie wypowiedział krótkie słowo z takim zadowoleniem, że nawet Robert to poczuł. Pani Williamson, która kroїła chleb na końcu stołu, odłożyła nóż i bochenek, po czym spojrzała na młodego człowieka z niepokojem w oczach. Zastanawiała się, czy znów zaglądał do starego sadu Connorów i czy tym razem także spotkał tam Kilmeny.

– Odkrył pan żyłę złota czy co? – zażartował sobie Robert. – Bo tak pan wygląda.



8 U BRAM RAJU

KIEDY ERIC PRZYSZEDŁ następnego wieczoru do sadu Connorów, Kilmeny czekała na niego na ławce pod krzewem białego bzu ze skrzypcami na kolanach. Gdy tylko go zobaczyła, podniosła instrument i wydobyla z niego subtelną melodię, która przywodziła na myśl śmiech stokrotek.

Skończywszy, opuściła smyczek i, zarumieniona, spojrzała pytająco na Erica.

„Wie pan, co to ma znaczyć?” – napisała.

– Owszem – podjął z uśmiechem jej grę. – Witaj, przyjacielu. Piękny dziś mamy wieczór. Niebo jest takie niebieskie, a kwiaty jabłoni słodko pachną. Byłam tu sama z wiatrem, który jest dobrym towarzyszem, ale i tak się cieszę, że cię widzę. W taki wieczór jak ten dobrze jest żyć i przechadzać się po pięknym sadzie. Witaj, przyjacielu.

Zaklaskała w dłonie, wyglądając przy tym jak zadowolone dziecko.

„Pan w lot wszystko rozumie – napisała. – Właśnie o to mi chodziło. Oczywiście nie wypowiedziałam w myślach tych samych słów, ale dokładnie tak się czułam. Rozpierała mnie radość z tego powodu, że żyję, że kwiaty jabłoni, biały bez, drzewa i ja cieszymy się ze spotkania z panem. Pan chwyta sens szybciej od Neila. On zawsze ma kłopot ze zrozumieniem mojej muzyki, a ja nie rozumiem tego, co on gra. Czasem mnie nawet przeraża. Mam wrażenie, jakby ta muzyka chciała mną zawładnąć – a to mi się nie podoba i mam ochotę uciec”.

Wzmianka o Neilu była Ericowi bardzo nie w smak. Drażniła go myśl, że ten przystojny chłopak widuje Kilmeny codziennie, rozmawia z nią, zasiada przy tym samym stole, mieszka pod tym samym dachem i dzieli z nią setki domowych codziennych spraw. Jednak tymczasem odsunął to spostrzeżenie i wyciągnął się wygodnie w wysokiej trawie u stóp dziewczyny.

– A teraz proszę dla mnie zagrać – powiedział. – Chcę tu leżeć i słuchać.

„I patrzeć na panią”, mógłby dodać. Sam nie wiedział, co sprawia mu większą przyjemność. Zachwycił ją jej uroda. Przewyższała wdzięki wszystkich piękności z obrazów, które wcześniej widywał. Każdy odcień, łuk i kontur jej twarzy był doskonały. Jej muzyka go urzekała. Pomyślał, że dziewczyna ma wielki talent, który idzie na marne. Złapał się na tym, że myśli z niechęcią o ludziach będących jej opiekunami. Ponosili odpowiedzialność za jej dziwne życie i wyrządzili jej wielką, nieodwracalną krzywdę. Jak śmieli skazywać ją na taką egzystencję? Gdyby dziewczynę zbadano we właściwym czasie, może dałoby się coś poradzić na jej ułomność? Teraz prawdopodobnie jest już za późno. Natura obdarzyła ją po królewsku urodą i talentem, a egoizm i niewybaczalne zaniedbania opiekunów zmierzały do tego, by wszystko zaprzepaścić.

Dziewczyna wydobywała ze skrzypiec muzykę pełną niezmiernego powabu. Była ona zarazem wesoła i smutna, radosna i pełna bólu, jakby wyśpiewana przez gwiazdny chór, wytańczona przez wróżki na pohulankach wśród zielonych wzgórz i żółtych piasków, mogła być pieśnią żalobną nad grobem nadziei. Potem skrzypaczka przeszła do miłszych tonów. Kiedy Eric ich słuchał, uzmysłowił sobie, że w tej muzyce przejawiają się duchowość i charakter dziewczyny – piękno i czystość jej myśli, dziecięce marzenia i panięńskie fantazje. Niczego nie skrywała, nie potrafiła nic poradzić na to, że nieświadomie całkiem się odsłaniała.

Wreszcie odłożyła skrzypce i napisała:

„Staralam się jak moglam sprawic panu przyjemnosc. Kolej na pana. Pamietaj pan swoje wczorajsze przyrzeczenie? Dotrzymal pan slowa?”.

Wręczył jej przyniesione książki – współczesną powieść i tom poezji, której nie знаła. Przy wyborze tej pierwszej trochę się wahał, ale była znakomita, pięknie napisana, i uznał, że ta lektura nie narazi na szwank niewinności dziewczyny. Co do tomu wierszy nie miał żadnych wątpliwości. Była to natchniona poezja wielkiego twórcy.

Przeczytał jej kilka utworów. Potem opowiadał o czasach studenckich i swoich przyjaciółach. Minuty mijały bardzo szybko. Przestał na jakiś czas istnieć dla niego cały świat poza tym starym cienistym sadem, w którym wiatr zdmuchiwał białe płatki z drzew.

W pewnej chwili, kiedy opowiadał o jakichś studenckich psikusach, a wciąż robili je sobie nawzajem studenci pierwszego i drugiego roku, zaklaskała i zaniosła się perlistym, melodyjnym śmiechem. Wywołał on zdumienie Erica. Zdziwił się, że dziewczyna śmieje się tak dźwięcznie, skoro nie potrafi mówić. Na czym polegał defekt odcinający ją od mowy? Czy to możliwe, żeby dało się go usunąć?

Przez chwilę się namyślał i patrzył, jak promienie zachodzącego słońca rzucają poprzez gałęzie bzu garście czerwonych klejnotów na jedwabiste włosy dziewczyny.

– Kilmeny – odezwał się wreszcie poważnym tonem. – Chciałbym spytać o coś w związku z tym, że pani nie mówi. Czy ten temat nie sprawi pani przykrości?

Pokręciła przecząco głową.

„Och, nie – napisała. – Wcale mi to nie przeszkadza. Oczywiście żałuję, że nie mogę mówić, ale już do tego przywykłam i poruszanie samego tematu mnie nie boli”.

– W takim razie, proszę powiedzieć, czy wie pani, dlaczego nie potrafi mówić?

„Nie mam pojęcia. Raz spytałam o to matkę, a ona powiedziała, że tak ją pokarało za wielki grzech, który popełniła. Wyglądała przy tym tak dziwnie, że się przeraziłam i nigdy już jej ani nikogo innego o to nie pytałam”.

– Czy kiedykolwiek zabrano panią do lekarza, aby zbadać aparat mowy?

„Nie. Pamiętam, że kiedy byłam małą dziewczynką, wujek Thomas

chciał mnie zabrać do Charlottetown, żeby sprawdzić, czy da się coś dla mnie zrobić, ale matka mu nie pozwoliła. Powiedziała, że to nie ma sensu. I myślę, że wujek Thomas myślał podobnie”.

– Śmieje się pani bardzo naturalnie. Czy potrafi pani wydawać inne dźwięki?

„Tak, czasami. Kiedy jestem zadowolona albo przestraszona, wyrывa mi się coś w rodzaju cichego okrzyku. Ale to się dzieje bezwiednie, bo kiedy próbuję wydobywać z siebie dźwięki, nic mi nie wychodzi”.

Ericowi ta sprawa wydawała się bardzo dziwna.

– Czy kiedykolwiek próbowała pani mówić, wypowiadać słowa? – dążył.

„O tak, często to robię. Cały czas wypowiadam słowa w głowie, tak jak wymawiają je inni ludzie, ale nie mogę zmusić do tego własnego języka. Proszę nie robić takiej zgnębionej miny, przyjacielu. Jestem bardzo szczęśliwa i właściwie wcale mi nie przeszkadza, że nie potrafię mówić. Czasem tylko, gdy mam nawał myśli, a zapisywanie ich idzie zbyt wolno, niektóre mi umykają. Muszę znów coś zagrać, bo wygląda pan tak poważnie”.

Znów się roześmiała, chwyciła skrzypce i zagrała piskliwą, szelmowską melodię, jakby próbowała się z nim przekomarzać, a jednocześnie patrzyła na Eryka znad skrzypiec błyszczącymi oczami, które zachęcały go, by się rozweselił.

Eric uśmiechnął się, ale tego wieczoru zdziwienie jeszcze wiele razy pojawiała się na jego twarzy. Do domu wracał w zamyśleniu. Przypadek Kilmeny wydawał się doprawdy dziwny, a im dłużej o nim myślał, tym bardziej niezwykły mu się wydawał.

„Szczególnie dziwi mnie, że potrafi wydawać dźwięki tylko wtedy, gdy o tym nie myśli – dumał. – Chciałbym, żeby zbadał ją David Baker. Ale pewnie nie ma co na to liczyć. Ta ponura para, która trzyma ją w garści, za nic się na to nie zgodzi”.



9 PROSTOTA EWY

PRZEZ KOLEJNE TRZY TYGODNIE Eric Marshall miał wrażenie, że wiecie dwutorowe życie, i to tak różne, jakby posiadał podwójną osobowość. Uczył sumiennie w okręgowej szkole w Lindsay, rozwiązywał zadania, spierał się o kwestie teologiczne z Robertem Williamsonem, odwiedzał rodziców swych uczniów i uczestniczył w uroczystych podwieczorkach, parę razy wybrał się na wiejską potańcówkę i mimowolnie zasiał zamęt w sercach wielu panien.

Jednak to życie było dla niego niby sen. Tak naprawdę istniał w tym drugim wymiarze, kiedy spędzał czas w starym sadzie, trawiastym i zarośniętym, gdzie minuty zdawały się zwalniać z czystej miłości do tego zakątka, a czerwcowe wiatry brzęczały jak harfy wśród starych świerków.

Tutaj każdego wieczoru spotykał się z Kilmeny, w tym starym sadzie wspólnie przeżywali szczęśliwe chwile. Błądzili po zaczarowanych krainach starych romansów, czytali razem książki i rozmawiali o wielu rzeczach, a kiedy się już tym wszystkim znużyli, Kilmeny grała dla niego i sad rozbrzmiewał ślicznymi, fantastycznymi melodiami.

Przy każdym spotkaniu uroda dziewczyny wciąż na nowo go zaskakiwała. Kiedy się nie widzieli, wydawało mu się niemożliwe, by Kilmeny mogła być aż tak piękna, jak zapamiętał, a gdy spotykali się następnym razem, zdawała mu się jeszcze piękniejsza. Nauczył się

szukać wzrokiem nieskrywanej radości, która iskrzyła się w jej oczach na dźwięk jego kroków. Przeważnie była w sady przed nim i zawsze okazywała, że się cieszy na jego widok ze szczerym zachwytem dziecka wypatrującego ulubionego towarzysza zabaw.

Za każdym razem przychodziła w innym nastroju. Bywała poważna albo wesoła, kiedy indziej znów zamyślona, zawsze jednak czarująca. Ród Gordonów składał się z dziwaków, ale przynajmniej ta jedna latorośl była zrównoważona i pełna wdzięku. Jej umysł i serce, zupełnie niezeepsute przez świat, zdawały się równie piękne jak jej twarz. Cała szpetota istnienia ominęła jej schronienie w podwójnej samotności wynikającej z wychowania i niemości.

Z natury była bystra i zdolna. Czasem zachwycała go ciętym dowcipem. Bywała zmienna, a nawet czarująco kapryśna. Nieraz w jej nieodgadnionych błękitnych oczach tliła się niewinna figlarność. Umiała też zdobyć się na ironię. Kiedy Eric za bardzo się wymądrzał, pisała jakąś kąśliwą uwagę, przekłuwając balonik męskiej pychy.

Chłonęła szybko i z zapalem treść czytanych wspólnie książek, zawsze opowiadając się za tym, co najlepsze i najprawdziwsze, a odrzucając rzeczy fałszywe, pozorne i słabe z nieomylną intuicją, która zachwycała Erica. Zupełnie jakby dzierżyła włócznie Ituriela, bezbłędnie oddzielała ziarno od plew.

W sposobie bycia i wyglądzie miała jeszcze wiele z dziecka. Jednak czasem przemawiała przez nią biblijna Ewa. Roześmiana twarz nagle przybierała szczególny wyraz, w uśmiechu przejawiało się jakieś subtelne znaczenie, odwieczna kobieca mądrość.

Erica zachwycał jej uśmiech, który zaczynał się gdzieś w głębi oczu i wypływał na twarz niby rozmigotany strumyk wyrywający się z cienia na słońce.

Wiedział wszystko o jej życiu. Otwarcie opisała mu swoje dzieje. Często wspominała wuja, ciotkę i widać było, że darzy ich głębokim uczuciem. O matce wypowiadała się rzadko. Eric domyślił się, głównie na podstawie powściągliwych wzmianek, że Kilmeny, choć kochała matkę, zawsze się jej bała. Nie było między nimi naturalnego zaufania łączącego matkę i dziecko.

O Neilu na początku pisała dość często i z wielką sympatią.

Z czasem wspominała o nim coraz rzadziej. Może dlatego, że niezwykle szybko potrafiła wyłapać i zinterpretować każdą przelotną zmianę w tonie głosu Erica i wyrazie jego twarzy, a więc dostrzegła to, z czego on sam nie zdawał sobie sprawy – że pochmurniał i robił się rozdrażniony przy każdej wzmiance o Neilu.

Któregoś razu spytała naiwnie:

„Czy na świecie jest wielu ludzi takich jak ty?”.

– Tysiące – odpowiedział ze śmiechem Eric.

Popatrzyła na niego poważnie, a potem zaprzeczyła, zdecydowanie kręcąc głową.

„Nie sądzę – odpisała. – Mało wiem o świecie, ale myślę, że jesteś wyjątkowy”.

Pewnego wieczoru, kiedy odległe wzgórza i pola okrył purpurowy woal, a między nimi zawisła złocista mgła, Eric przyniósł do sadu sfatygowaną, cieniutką książeczkę o miłości. W pierwszej powieści, którą pożyczył Kilmeny, temat ten prawie pominięto, więc po raz pierwszy czytał jej coś w tym rodzaju. To była piękna opowieść o namiętym uczuciu.

Czytał ją, leżąc na trawie u stóp Kilmeny. Słuchała ze spuszczonym wzrokiem, objawszy rękami kolano. Historia nie była długa, a kiedy skończył, zamknął książkę i spojrzał pytająco na dziewczynę.

– Podobało ci się, Kilmeny?

Powoli wzięła notesik i napisała:

„Tak, ale również sprawiło mi ból. Nie wiedziałam, że można lubić coś, co cię rani. Zresztą nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Czuję się, jakbym straciła coś, czego nigdy nie miałam. To chyba niemądre, prawda? Ale ja niezbyt dobrze zrozumiałam tę książkę. Opowiada o miłości, a ja nic o niej nie wiem. Matka powiedziała mi kiedyś, że miłość to przekleństwo, więc muszę się modlić o to, by nigdy nie pojawiła się w moim życiu. Przekonywała o tym żarliwie, więc jej uwierzyłam. Jednak twoja książka twierdzi, że to błogosławieństwo. Mówi, że to najwspanialsza rzecz w życiu. Komu mam wierzyć?”.

– Miłość, prawdziwa miłość, nigdy nie jest przekleństwem, Kilmeny – odpowiedział z powagą Eric. – Przekleństwem może stać się

falszywa miłość. Pewnie twoja matka sądziła, że uwierzyła w takie właśnie uczucie, i przez ten błąd zniszczyła sobie życie. Wierzę głęboko, że ani na ziemi, ani w niebie nie ma nic tak autentycznie pięknego, wspaniałego i błogosławionego jak miłość.

„Czy kochałeś już kiedyś?” – spytała Kilmeny z właściwą sobie bezpośredniością, która wprawiała Erica w zakłopotanie. Zadała pytanie wprost i bez zażenowania, bo uważała, że może rozmawiać z nim o miłości tak samo jak o innych sprawach: muzyce, książkach albo podróżach.

– Nie – odpowiedział Eric, jak sądził, szczerze. – Ale każdy mężczyzna nosi w sercu obraz wymarzonej kobiety i ma nadzieję ją kiedyś spotkać. Ja chyba też.

„Kobieta Twoich marzeń jest pewnie piękna jak bohaterka tej książki?”

– Oczywiście. Nie zakochałbym się przecież w brzyduli – zaśmiał się Eric i usiadł. – Marzenia są zawsze piękne, choć niekoniecznie znajdują odbicie w rzeczywistości. Patrz, słońce już zachodzi. W tym bajecznym sadzie czas mknie zbyt szybko. Myślę, że to za sprawą twoich czarów, Kilmeny. O ile dobrze pamiętam, twoja imienniczka z poematu była niezwykłą damą. Siedem lat spędzonych przez nią w krainie elfów dla zwykłych śmiertelników na ziemi trwało zaledwie pół godziny. Pewnego dnia zbudzę się, sądząc, że spędziłem w tym sadzie godzinę, a okaże się, że jestem siwowłosym starcem w łachmanach, niczym ten z baśni, którą niedawno czytaliśmy. Czy mogę podarować ci tę książkę? Nie mógłbym czytać jej gdzie indziej, to byłoby jak świętokradztwo. Książka jest bardzo stara, Kilmeny. Nowa, prosto z księgarni, choćby nie wiem jak piękna, nie pasowałaby do ciebie. Ta należała do mojej matki, bardzo ją lubiła. Spójrz, są tu nadal zasuszone przez nią płatki róż. Wypiszę w dedykacji twoje imię – niezwykle, śliczne imię, wymyślone jakby specjalnie dla ciebie. „Dla Kilmeny z sadu”, a pod spodem data cudnego czerwcowego dnia, w którym razem czytaliśmy tę książkę. Później, zawsze gdy na nią spojrzysz, przypomnisz sobie mnie, a także białe pąki róż, te rozchylające się na tym krzewie za tobą, i szum wiatru targający czubkami tych starych świerków.

Wyciągnął do niej książkę, ale ku jego zaskoczeniu pokręciła głową, a na jej policzkach pojawił się rumieniec.

– Nie chcesz wziąć książki, Kilmeny? Dlaczego?

Napisała odpowiedź bardzo wolno, nie jak zazwyczaj.

„Nie gniewaj się. Nie potrzebuję żadnych pamiątek od Ciebie, bo i tak nigdy Cię nie zapomnę. Wolę jednak nie brać tej książki. Nie chcę jej więcej czytać. Opowiada o miłości, a po cóż miałabym się czegoś o niej dowiedzieć, nawet jeśli jest taka, jak mówisz? I tak nikt mnie nigdy nie pokocha. Jestem za brzydka”.

– Ty, brzydka?! – wykrzyknął Eric.

Już miał się roześmiać, ale widok spłoszonej dziewczyny go powstrzymał. Na jej twarzy malowały się ból i gorycz, które widział już wcześniej, kiedy zapytał, czy nie chciałyby poznać świata.

– Kilmeny, czy naprawdę myślisz, że jesteś brzydka? – spytał ze zdziwieniem.

Pokiwała głową, nie patrząc na niego, a potem napisała:

„O, tak, wiem, że tak jest, już od dawna. Matka powiedziała mi, że jestem szpetna i że nikt nigdy nie będzie chciał mnie oglądać. Przykro mi. Moja brzydota doskwiera mi o wiele bardziej niż niemota. Pewnie pomyślisz, że to głupie, ale tak jest. Dlatego nie wróciłam do sadu od razu, kiedy przewyciężyłam strach. Nie mogłam znieść myśli, że uznasz mnie za brzydką. Dlatego też nie chcę nigdzie wyjeżdżać ani poznawać ludzi. Patrzyliby na mnie jak sprzedawca jajek. Tej wiosny, kiedy mama umarła, podeszłam do jego wozu z ciocią Janet, a on wciąż się na mnie gapił, bo pewnie nie mógł się nadziwić mojej brzydocie. Od tamtej pory zawsze się chowam, kiedy przyjeżdża”.

Eric omal nie parsknął śmiechem. Chociaż było mu jej żal, bo widział w oczach Kilmeny prawdziwe cierpienie, nie mógł nic poradzić na to, że bawiło go absurdalne przekonanie tej pięknej dziewczyny o własnej brzydocie.

– Kilmeny, czy myślisz, że jesteś brzydka, kiedy patrzysz na siebie w lustrze? – spytał z uśmiechem.

„Nigdy nie przeglądałam się w lustrze – odpisała. – Nie wiedziałam nawet, że coś takiego istnieje, dopóki mama nie umarła i nie przeczytałam o tym w jakiejś książce. Wtedy zagadnęłam o to ciocię

Janet, a ona odpowiedziała, że moja matka potłukła wszystkie lustra w domu, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Jednak widziałam odbicie swojej twarzy w łyżkach i małej srebrnej cukiernicy cioci Janet. I rzeczywiście jest bardzo brzydka”.

Eric ukrył twarz w trawie. Nie był już w stanie opanować śmiechu, ale za nic w świecie nie chciał, aby Kilmeny zauważyła jego rozbawienie. Wpadł właśnie na pewien pomysł, więc już nie spieszył się z wyjawieniem prawdy, co zamierzał zrobić w pierwszym odruchu. Zamiast tego, gdy odważył się wreszcie podnieść głowę, powiedział wolno:

– Wcale nie sędzę, że jesteś brzydka, Kilmeny.

„Nieprawda – zaprotestowała szybko. – Nawet Neil tak myśli. Mówi mi, że jestem dobra i miła, ale kiedy pewnego dnia spytałam, czy uważa mnie za bardzo brzydką, wtedy tylko odwrócił głowę i milczał, więc domyśliłam się, jakie ma zdanie. Nie mówmy już o tym. Robi mi się przykro i jest nieprzyjemnie. Bywa, że o tym zapominam. Teraz zagram Ci coś na pożegnanie. Nie przejmuj się, że nie wzięłam od Ciebie książki. Czytanie jej tylko by mnie przygnębiło”.

– Wcale się nie przejmuję – odparł Eric. – Myślę, że wkrótce jednak ją weźmiesz, kiedy zobaczysz to, co chcę ci pokazać. Nieważne, jak wyglądasz, Kilmeny. Uroda to nie wszystko.

„Jest bardzo ważna – odpisała naiwnie. – Ale lubisz mnie, chociaż jestem brzydka, prawda? Lubisz mnie dzięki mojej pięknej muzyce?”.

– Bardzo cię lubię, Kilmeny – odpowiedział Eric z lekkim uśmiechem, a w jego głosie zabrzmiała bezwiednie czuła nuta. Kilmeny ją jednak od razu wychwyciła i podniosła skrzypce z zadowoleniem.

Zostawił ją grającą w sadzie, a kiedy szedł przez mroczny, pachnący żywicą świerkowy las, muzyka podążała za nim niczym niewidzialny duch opiekuńczy.

– Piękna Kilmeny... – mruknął do siebie.

„A sądzi, że jest brzydka... Żaden artysta nie wymarzyłby sobie tak pięknej twarzy! Osiemnastolatka, która nigdy nie przeglądała się w lustrze! Ciekawe, czy jest jeszcze ktoś taki w cywilizowanym świecie. Co opętało jej matkę, że tak ją oszukała? Zastanawiam się, czy Margaret Gordon była przy zdrowych zmysłach. Dziwne, że Neil nigdy nie

powiedział Kilmeny prawdy. A może nie chce, by ją poznała?”.

Eric spotkał Neila Gordona kilka dni wcześniej na wiejskiej zabawie, gdzie chłopak przygrywał do tańca. Pod wpływem ciekawości postarał się z nim zapoznać. Z początku Neil był przyjazny i rozmowny, ale przy pierwszej wzmiance na temat Gordonów, którą zρέcznie wtrącił Eric, w jego zachowaniu i wyrazie twarzy od razu nastąpiła zmiana. Minę miał podejrzliwą, niemal złowrogą, jego czarne oczy spochmurniały. Przeciągnął raptownie smyczkiem po strunach, jakby tym nieprzyjemnym, fałszywym piskiem chciał zakończyć rozmowę. Nic nie dało się z niego wyciągnąć na temat Kilmeny i jej posępných opiekunów.



10 ZMAĆONA WODA

PEWNEGO WIECZORU pod koniec czerwca pani Williamson siedziała przy kuchennym oknie z porzuconą robótką na kolanach. Timothy, choć zwinął się w kłębek na dywanie tuż u jej stóp i mruczał głośno, też nie doczekał się uwagi. Pani Williamson podparła ręką brodę i z niepokojem patrzyła przez okno na odległą przystań.

„Chyba muszę się z nim rozmówić – pomyślała. – Nie chcę tego robić, nie znoszę się wtrącać w cudze sprawy. Matka mawiała, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto przynosi to więcej szkody niż korzyści. Ale to chyba mój obowiązek. Byłam przyjaciółką Margaret i muszę chronić jej dziecko, jak potrafię. Jeśli nauczyciel się z nią spotyka, powiem mu, co o tym myślę”.

Tymczasem Eric pogwizdywał w swoim pokoju na górze. Po chwili zszedł po schodach, myśląc o sędzie i czekającej tam dziewczynie. W sieni dogonił go głos pani Williamson:

– Panie Marshall, czy mógłby pan wstąpić tu na chwilę? – zawołała.

Wszedł do kuchni.

Pani Williamson popatrzyła na niego z wyraźną dezaprobatą. Była lekko zarumieniona i odezwała się drżącym głosem:

– Panie Marshall, chcę pana o coś zapytać. Może pomyśli pan, że to nie moja sprawa. Ale nie chodzi o to, że chcę się wtrącać. O nie. Po prostu czuję, że powinnam z panem porozmawiać. Myślę o tym od

dawna i wydaje mi się to słuszne. Mam nadzieję, że pan się nie rozzłości, a nawet jeśli, muszę powiedzieć, co mam do powiedzenia. Czy chadza pan do starego sadu Connorów, by spotykać się tam z Kilmeny Gordon?

W pierwszej chwili przez twarz Erica przemknął gniewny grymas. Ton pani Williamson zaskoczył go i zirytował jeszcze bardziej niż jej słowa.

– Owszem – odparł chłodno. – A o co chodzi?

– O to, że moim zdaniem postępuje pan niewłaściwie – oświadczyła stanowczo pani Williamson. – Od dłuższego czasu podejrzewałam, że właśnie tam pan bywa wieczorami, ale nikomu o tym nie mówiłam. Nawet mężowi. Ale proszę powiedzieć, czy wuj i ciotka Kilmeny wiedzą, że pan się z nią spotyka?

– No cóż... – bąknął zmieszany Eric. – Nie mam pojęcia. Ale nie podejrzewa pani chyba, że zamierzam skrzywdzić Kilmeny Gordon?

– Nie. Mogłabym tak pomyśleć o wielu mężczyznach, ale nie o panu. Do głowy by mi nie przyszło, że mógłby pan świadomie skrzywdzić jakąś kobietę. A jednak może pan Kilmeny bardzo zaszkodzić. Proszę się dobrze nad tym zastanowić, bo chyba pan tego jeszcze nie zrobił. Kilmeny nie ma pojęcia o świecie ani o mężczyznach i może sobie zacząć zbyt wiele wyobrazać w związku z panem. To mogłoby złamać jej serce, bo pan nie ożeni się przecież z niemą dziewczyną. I dlatego właśnie myślę, że nie powinien pan się z nią spotykać, zwłaszcza tak często i w takich okolicznościach. To nie w porządku, panie Ericu. Proszę już więcej nie chodzić do sadu.

Eric odwrócił się bez słowa i poszedł do swojego pokoju na górze. Pani Williamson westchnęła i wróciła do dziergania.

– No, Timothy, dobrze, że mam to już za sobą – powiedziała. – Chyba nie będzie trzeba mówić nic więcej. Pan Marshall jest porządnym człowiekiem, tylko trochę bezmyślnym. Teraz, kiedy otworzyłam mu oczy, jestem pewna, że zrobi, co trzeba. Nie chcę, by ktoś swoim nierozważnym zachowaniem unieszczęśliwił dziecko Margaret.

Pan Williamson podszedł do drzwi kuchni, a potem przysiadł na schodkach, by rozkoszować się fajką, i pomiędzy kolejnymi dymkami opowiedział jej o awanturze, którą wszczął w kościele Elder Tracy, o adoratorze Mary Alice Martin, cenie, jaką proponował za jajka Jake

Crosby, zbiorach siana z łąki na wzgórzu, kłopotach, jakie miał z cielakiem Molly oraz zaletach kogutów ras plymouth rock tudzież brahma. Pani Williamson od czasu do czasu rzucała coś niezobowiązująco, ale docierało do niej co dziesiąte słowo.

– Co się dzieje z nauczycielem? – spytał w pewnej chwili. – Miota się w swoim pokoju jak w klatce. Może niechcący zamknęłaś go na klucz?

– Pewnie się zamartwia zachowaniem Setha Tracy'ego w szkole – zasugerowała szybko pani Williamson, nie chcąc, żeby jej mąż plotkarz zwąchał coś w związku z Erikiem i Kilmeny Gordon.

– Nie ma się co martwić. Gdy Seth się zorientuje, że nauczycielem nie da się rządzić, od razu spotulnieje. To wyjątkowo dobry nauczyciel; nawet lepszy od pana Westa, a to już coś. Rada szkolna ma nadzieję, że zostanie na następny semestr. Zamierzają mu to zaproponować na jutrzejszym zebraniu, a do tego jeszcze chcą mu dać podwyżkę.

Tymczasem na piętrze, w pokoiku ze skośnym sufitem, Erikiem Marshallem miotały silne emocje. Chodził tam i z powrotem, z zaciśniętymi ustami i pięściami. Kiedy się zmęczył, opadł na krzesło przy oknie i nadal walczył z zalewem uczuć.

Pani Williamson zerwała mu klapki z oczu. Uświadomił sobie jasno, że kocha Kilmeny Gordon miłością, która zdarza się raz w życiu i nie przemija. Nie rozumiał, jak mógł tak długo być na to ślepy. Przecież pokochał ją, kiedy spotkali się w starym sadzie po raz pierwszy w tamten majowy wieczór.

Wiedział też, że ma do wyboru dwa wyjścia: albo nigdy już nie iść do sadu, albo pójść tam i poprosić dziewczynę o rękę.

Eric odziedziczył po swych gospodarnych, powściągliwych przodkach sporo życiowej rozwagi i nie poddawał się łatwo porywom uczuć. Przez całą noc zmagał się z nieznanymi dotąd emocjami, którym sprzeciwiał się zdrowy rozsądek, a przecież David Baker zalecił mu zabierać go ze sobą, kiedy będzie szedł w zaloty. Małżeństwo z Kilmeny Gordon z każdego punktu widzenia wydawało się nieroztropną decyzją.

Później opanowało go coś silniejszego i bardziej żywotnego niż rozsądek. Kilmeny, piękna, niema Kilmeny była tą jedyną. Nic nie może ich rozdzielić. Już sama myśl o tym, że mógłby jej nie zobaczyć, była nie

do zniesienia. Prychnął z niesmakiem, że w ogóle brał taką możliwość pod uwagę.

– Jeśli zdołam zdobyć miłość Kilmeny, poproszę ją o rękę – powiedział, patrząc przez okno na ciemne wzgórze, za którym leżał sad.

Aksamitne niebo było nadal rozgwieżdżone, ale woda w porcie zaczęła się już srebrzyć w poświacie brzasku.

„Przez nieszczęście, które ją spotkało, będzie mi jeszcze droższa. Aż trudno mi pojąć, że jeszcze przed miesiącem jej nie znałem. Wydaje mi się, że zawsze była częścią mojego życia. Ciekawe, czy było jej przykro, gdy nie przyszedłem wczoraj wieczorem do sadu; o ile tam na mnie czekała. Jeśli tak, sama pewnie jeszcze nie wie dlaczego. Nauczę ją, czym jest miłość, a nikt nie miał jeszcze tak ślicznej, niewinnej uczennicy”.

Na zebraniu, które odbyło się nazajutrz po południu, rada szkolna poprosiła Erica o objęcie posady nauczyciela w szkole w Lindsay na cały przyszły rok. Zgodził się bez wahania.

Tego wieczoru przyszedł do pani Williamson, kiedy zmywała właśnie filiżanki.

– Pani Williamson, dziś wieczór znów idę spotkać się z Kilmeny w sadzie Connorów.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– No cóż, nie mam nic więcej do powiedzenia. A nawet gdybym miała i tak nie zdałoby się to na nic. Ale wie pan, co o tym myślę.

– Zamierzam ożenić się z Kilmeny Gordon, jeśli się na to zgodzi.

Na twarzy pocziwej kobiety pojawił się wyraz zaskoczenia. Przez chwilę przyglądała się badawczo twarzy Erica, który zaciskał usta i patrzył bez mrugnięcia szarymi oczami. Potem odezwała się z troską w głosie:

– Czy to rozsądne, panie Ericu? Przypuszczam, że Kilmeny jest ładna, tak mi powiedział sprzedawca jajek, i bez wątplenia to dobra, miła dziewczyna. Ale niemowa nie będzie odpowiednią żoną dla pana.

– Dla mnie to bez znaczenia.

– A co powie pańska rodzina?

– Mam tylko ojca. Kiedy zobaczy Kilmeny, od razu zrozumie. Ona jest dla mnie całym światem, pani Williamson.

– Dopóki pan w to wierzy, nie ma o czym mówić – odparła cicho.
– Chociaż na pańskim miejscu miałabym obawy. Jednak młodzi ludzie nie myślą o pewnych rzeczach.

– Boję się tylko o to, że ona mnie nie zechce – wyznał Eric.

Pani Williamson zlustrowała przystojnego młodego człowieka.

– Nie sądzę, by wiele kobiet panu odmówiło. Życzę szczęścia w zalotach, choć nie mogę się oprzeć myśli, że postępuje pan niemądrze. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał kłopotów z Thomasem i Janet. Tak się różnią od innych ludzi, że z nimi nigdy nic nie wiadomo. Ale proszę posłuchać mojej rady, panie Ericu, i od razu się z nimi rozmówić. Niech pan się nie spotyka z Kilmeny bez ich wiedzy.

– Oczywiście, posłucham pani rady – zapewnił poważnie Eric. – Powinienem wcześniej do nich pójść. Po prostu jakoś o tym nie pomyślałem. Może już wiedzą. Kilmeny mogła im powiedzieć.

Pani Williamson stanowczo pokręciła głową.

– O nie, panie Ericu, na pewno nic im nie powiedziała. Gdyby się dowiedzieli, nie pozwoliliby jej się z panem spotykać. Znam ich zbyt dobrze, by mieć co do tego wątpliwości. Proszę iść prosto do nich i powiedzieć to samo, co mnie. To najlepszy pomysł. I proszę uważać na Neila. Ludzie mówią, że podkochuje się w Kilmeny. Na pewno gdyby mógł, toby panu zaszkodził. Tym cudzoziemcom nie można ufać; a on jest tak samo obcy jak jego rodzice, chociaż wychował się na owsiance. Czuję to przez skórę, ilekroć widzę, jak śpiewa w chórze.

– Nie boję się Neila – odparł beztrósco Eric. – Wcale się nie dziwię, że się kocha w Kilmeny, przecież nikt by się jej nie oparł.

– Chyba każdy chłopak myśli tak o swojej ukochanej... jeśli jest przyzwoity – powiedziała z cichym westchnieniem pani Williamson.

Patrzyła z niepokojem na odchodzącego Erica.

„Mam nadzieję, że mu dobrze pójdzie – pomyślała. – No i że nie popełnia poważnego błędu, chociaż tego się właśnie obawiam. Kilmeny musi być bardzo ładna, skoro tak go oczarowała. No cóż, chyba nie ma sensu, bym się tym zamartwiała. Ale wolałabym, żeby nigdy więcej nie wrócił do tego sadu i już jej nie zobaczył”.



11 ZAKOCHANY I JEGO WYBRANKA

KIEDY ERIC ZBLIŻAŁ SIĘ DO SADU, już z daleka dostrzegł Kilmeny i przystanął w cieniu świerków, by móc napawać się jej urodą.

W sadzie rozkwitły niedawno bujne kępy kminku. Kilmeny stała pośród morza kwiecica, a koronkowe baldaszki falowały wokół niej w powiewach wiatru. Miała na sobie skromną sukienkę z niebieskiego perkalu, tę samą, w której ujrzał ją po raz pierwszy. Nawet jedwab nie podkreśliłby lepiej jej uroku. Przystroiła ciemne włosy wiankiem z białych różyczek. Jej cera zdawała się przy nich świeższa od delikatnych płatków kwiatów.

Kiedy Eric wszedł do sadu przez dziurę w płocie, Kilmeny natychmiast wybiegła mu na spotkanie z uśmiechem i rozpostartymi ramionami. Ujął ją za ręce i zajrzał głęboko w oczy z takim uczuciem, że speszona spuściła wzrok. Zarumieniła się aż po dekolt. Serce zabiło mu mocniej, bo rumieniec zwiastował wzajemność dziewczyny.

– Cieszysz się, że mnie widzisz, Kilmeny? – spytał cicho, znaczącym tonem.

Skinęła głową, nieco skrępowana, i odpisała:

„Tak. Czemu pytasz? Wiesz, że zawsze jestem rada, kiedy Cię widzę. Bałam się, że już nie przyjdiesz. Było mi przykro, bo się wczoraj nie zjawiłeś. Sad stracił dla mnie cały urok. Nie mogłam nawet grać. Próbowałam, ale skrzypce płakały. Wypatrywałam Cię aż do zmroku

i dopiero wtedy poszłam do domu”.

– Przykro mi, że sprawiłem ci zawód, Kilmeny. Nie mogłem wczoraj przyjść. Kiedyś ci powiem dlaczego. Zostałem w domu, bo musiałem rozwiązać pewne trudne zadanie. Przykro mi, że za mną tęskniłaś, nie, właściwie to się cieszę. Czy wiesz, że człowiek może się smucić i cieszyć z tego samego powodu?

Skinęła głową i widać było, że odzyskała swój dawny spokój.

„Tak, kiedyś tego nie rozumiałam, ale teraz wiem, że tak bywa. Czy udało ci się rozwiązać to trudne zadanie?”.

– Tak. I wiele się przy tym nauczyłem. To była piękna lekcja. Muszę kiedyś podzielić się z tobą tą wiedzą. Usiądźmy na ławce, Kilmeny. Chcę ci coś powiedzieć. Ale czy mogłabyś najpierw zerwać dla mnie różę?

Podbiegła do krzewu i po długim namyśle wybrała prześliczny biały pąk musnięty purpurą.

– Dziękuję. Ta róża jest tak piękna jak pewna kobieta, którą znam – powiedział, kiedy wręczyła mu kwiat.

Te słowa wyraźnie ją zasmuciły i ze spuszczoną głową podeszła do ławki.

– Kilmeny – odezwał się poważnym tonem Eric. – Chcę cię o coś prosić. Zabierz mnie do swojego domu i przedstaw ciotce i wujowi.

Podniosła głowę i wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, jakby poprosił ją o rzecz niewyobrażalną. Kiedy po minie Erica poznała, że mówił serio, w jej oczach pojawiło się przerażenie. Gwałtownie pokręciła głowę i wyglądała tak, jakby starała się usilnie wydobyć z siebie głos. Potem chwyciła ołówek i z gorączkowym pośpiechem napisała:

„Nie mogę. Nie prosź mnie. Nic nie rozumiesz. To by ich rozgniewało. Nie życzą sobie, by ktoś nas odwiedzał. Już nigdy więcej nie pozwoliliby mi tu przyjść. Naprawdę chcesz to zrobić?”.

W oczach dziewczyny było tyle bólu i strachu, że zrobiło mu się jej żal. Jednak ujął jej smukłe dłonie i powiedział stanowczo:

– Naprawdę chcę. Nie powinniśmy się tu spotykać bez wiedzy i zgody twoich opiekunów. Być może jeszcze tego nie rozumiesz, ale zapewniam cię, że źle postępujemy.

Spojrzała na niego pytająco i w jego oczach wyczytała determinację. Bardzo pobladła, a na jej twarzy pojawił się wyraz rozpacz. Uwolniła dłonie i napisała powoli:

„Muszę Ci wierzyć. Nie wiedziałam, że coś tak przyjemnego może być złe. Jednak jeśli tak twierdzisz, nie możemy się więcej spotykać. Matka mówiła, że nie wolno mi źle postępować. Ale ja nie wiedziałam, że robię coś złego”.

– Nic złego nie zrobiłaś. To ja zachowywałem się niewłaściwie, powinienem wiedzieć, że tak nie wolno. No ale jakoś nie pomyślałem, jak mówią dzieci. Kiedyś zrozumiesz, o co chodzi. A teraz zaprowadź mnie do ciotki i wuja. Gdy z nimi porozmawiam, będziemy mogli spotykać się bez przeszkód.

Pokręciła głową.

„Nie – napisała. – Wuj Thomas i ciocia Janet każą Ci odejść i nigdy nie wracać. I nie pozwolą mi więcej przychodzić do sadu. Skoro mówisz, że nie powinnam się z Tobą spotykać, nie będę tego robić, ale nie ma sensu iść do nich. Nie mówiłam im o Tobie, bo wiedziałam, że zabronią mi Cię widywać, ale jest mi przykro, bo to jest takie niesprawiedliwe”.

– Musisz mnie do nich zaprowadzić – upierał się Eric. – Jestem pewien, że kiedy usłyszą, co mam do powiedzenia, wcale nie będzie tak, jak się obawiasz.

Nadal niepokieszona napisała ze zgnębioną miną:

„Zgoda, skoro tak nalegasz. Ale to na nic. Dziś nie mogę Cię do nich zaprowadzić, bo pojechali na zakupy do Radnor. Pójdziemy jutro wieczorem. A potem już nigdy Cię nie zobaczę”.

W wielkich niebieskich oczach dziewczyny pojawiły się łzy, jej usta drżały jak u skrzywdzonego dziecka. Eric pod wpływem impulsu objął ją i przyciągnął do siebie. Kiedy szlochała żałośnie z głową opartą na jego ramieniu, ucałował jedwabiste czarne włosy ozdobione różaną koroną. Nie widział płonących nienawiścią oczu, które śledziły go zza płotu. Przyczał się tam Neil Gordon. Obserwował całą scenę z zaciśniętymi pięściami, ciężko dysząc.

– Kilmeny, kochanie, nie płacz – powiedział czule Eric. – Zobaczysz mnie na pewno, przyrzekam. Cokolwiek się stanie. Nie sądzę,

by twoi wujostwo zachowali się tak niedorzecznie, jak się obawiasz, ale nawet jeśli tak zrobią, znajdę sposób, by się z tobą spotkać.

Kilmeny podniosła głowę i otarła oczy.

„Nie wiesz, jacy oni są – napisała. – Zamkną mnie na klucz w moim pokoju. Tak mnie zawsze karali, kiedy byłam mała. A raz, nie tak dawno temu, też tak zrobili”.

– Jakoś cię stamtąd wyciągnę – odparł ze śmiechem Eric.

Próbowała się uśmiechnąć, z żalnym efektem. Przestała płakać, ale była nadal przygnębiona. Eric próbował ją rozbawić jakąś wesołą historyjką, lecz dziewczyna miała roztargnioną minę, jakby nic do niej nie docierało. Kiedy poprosił, by coś dla niego zagrała, pokręciła głową.

„Dziś nie potrafię nic zagrać – napisała. – Lepiej już pójdę do domu, bo boli mnie głowa i zupełnie nie mogę zebrać myśli”.

– Dobrze, Kilmeny. Tylko się nie martw. Wszystko się jakoś ułoży.

Najwyraźniej nie podzielała tego przekonania, bo szła ze zwieszoną głową. U wylotu czereśniowej alejki przystanęła i spojrzała na niego niemal z wyrzutem, w jej oczach znów zabłyśły łzy. Wyglądała, jakby milcząco się z nim żegnała. W porywie czułości Eric objął ją i ucałował w drżące usta. Wyrwała się i z cichym okrzykiem cofnęła o krok. Zarumieniona uciekła szybko mroczną alejką.

Eric wracał do domu odurzony. Wiedział, że ten mimowolny pocałunek odmieni Kilmeny. Mając go w pamięci, już nigdy nie spojrzy mu w oczy tak otwarcie, jak kiedyś. Tej nocy Kilmeny zostawiła za sobą w sadzie dzieciństwo.



12 W MIŁOSNYCH PĘTACH

NASTĘPNEGO DNIA, kiedy Eric wybierał się wieczorem do sadu, był trochę zdenerwowany. Nie wiedział, jak przyjmą go Gordonowie. Po tym, co o nich słyszał, spodziewał się najgorszego. Nawet pani Williamson, kiedy się dowiedziała, dokąd Eric idzie, spojrziała na niego, jakby lazył prosto w paszczę lwa.

– Mam nadzieję, że nie potraktują pana niegrzecznie – rzuciła powściągliwie.

Spodziewał się, że Kilmeny będzie już na niego czekała w sadzie, bo zjawił się późno z powodu wizyty przedstawiciela rady szkolnej. Jednak nigdzie jej nie widział. Skierował się do czereśniowej alei, ale u jej wylotu stanął zaskoczony.

Zza drzew wyłonił się Neil Gordon i stanął z nim twarzą w twarz. Oczy mu płonęły, a usta wykrzywiał gniewny grymas. Z wściekłości nie był w stanie się odezwać.

Zdenerwowany Eric natychmiast zrozumiał, co zaszło. Neil podpatrzył go w sadzie z Kilmeny i doniósł o tym Janet i Thomasowi Gordonom. Bardzo źle, że stało się to, zanim on sam zdążył im wszystko wyjaśnić. Opiekunowie Kilmeny będą przez to jeszcze bardziej do niego uprzedzeni. Nagle złość Neila znalazła ujście, kiedy zarzucił Erica gradem słów:

– A więc znów pan przyszedł, żeby się z nią spotkać. Ale jej tu nie ma i nigdy już pan jej nie zobaczy! Nienawidzę pana! Nienawidzę! –

wrzasnął.

Potem z furią ruszył na Erica, jakby chciał go zaatakować. Eric patrzył mu w oczy z wyzywającym spokojem, o który jego wściekłość rozbiła się jak spieniona fala o skałę.

– A więc narobiłeś Kilmeny kłopotów, tak? – rzucił Eric pogardliwie. – Pewnie nas szpiegowaleś. I doniosłeś ciotce i wujowi, że się tu ze mną spotyka. Oszczędziłeś mi fatygi, bo sam zamierzałem im dziś o tym powiedzieć. Nie wiem, co tobą kierowało. Jesteś o mnie zazdrosny? A może zrobiłeś to na złość Kilmeny?

Nawet wybuch gniewu nie podziałałby na Neila tak silnie jak te wzgardliwe słowa.

– Nie pańska sprawa – burknął. – Nic panu do tego, co zrobiłem i dlaczego. I niech pan przestanie przyłazić do sadu, bo Kilmeny już się tu z panem nie spotka.

– W takim razie spotka się ze mną w swoim domu – oświadczył stanowczo Eric. – Neil, zachowałeś się jak niemądry, rozpuszczony chłopak. Natychmiast idę do wujostwa Kilmeny, żeby im wszystko wytłumaczyć.

Neil zastąpił mu drogę.

– Nie! Niech pan tam nie idzie! – błagał. – Och, panie Marshall, proszę tam nie iść. Zrobię wszystko, co pan każe. Kocham Kilmeny! Kocham ją od zawsze. Oddałbym za nią życie. Nie pozwolę, by pan mi ją ukradł. Prędzej pana zabiję! Chciałem to zrobić już wczoraj, kiedy zobaczyłem, że pan ją całuje. O tak, widziałem was. Podglądałem, szpiegowałem, niech pan to sobie nazywa, jak chce. Poszedłem za nią, bo coś podejrzewałem. Ostatnio bardzo się zmieniła. Już nie chciała wpinać we włosy kwiatów, które dla niej zrywałem. Traktowała mnie jak powietrze. Wiedziałem, że ktoś stanął między nami. A to był pan, przekłety. Pożałuje pan tego!

Znów wpadł w nieposkromiony gniew, jak prawdziwy Włoch, który doznał zawodu miłosnego. Prysły zahamowania narzucone mu przez wychowanie. Ericowi mimo wszystko zrobiło się go żal. Neil Gordon był jeszcze chłopcem i nie panował nad sobą, bo zraniono jego uczucia.

– Neil, opowiadasz głupstwa – powiedział spokojnie. – Nie

będziesz decydował, z kim Kilmeny ma się przyjaźnić. A teraz weź się w garść i wracaj do domu. Wcale się nie boję twoich pogroźek i potrafię cię utemperować, jeśli nadal będziesz się wtrącał w moje sprawy albo dokuczał Kilmeny. Nie zadzieraj ze mną, chłopcze.

Opanowanie i siła Erica zrobiły swoje. Neil odwrócił się na pięcie, wymamrotał jakieś przekleństwo i zniknął wśród świerków.

Chociaż na pozór zachował spokój, Eric był bardzo poruszony tym nieoczekiwanym i nieprzyjemnym spotkaniem. Idąc krętą drogą prowadzącą wzdłuż lasu do domu Gordonów, myślał z niepokojem o Kilmeny. Na pewno spotkały ją ogromne przykrości! Relacja Neila na temat tego, co ujrzał w sadzie, musiała być przesadzona i zafalszowana, więc wywołała gniew surowych opiekunów. Pragnąc jak najszybciej go uśmierzyć, Eric maszerował szybkim krokiem i niemal puścił w niepamięć spotkanie z Neilem. Pogroźkami wcale się nie przejął. Wybuch zazdrości chłopaka nie miał znaczenia. Liczyło się tylko to, że Kilmeny wpadła w kłopoty z powodu jego własnej bezmyślności.

Wreszcie doszedł do domu Gordonów. Był to stary budynek z mansardowymi okienkami, stromym dachem, na którym gonty zszarzały od wiatrów i deszczów. Na parterze przy oknach tkwiły spłowiałe zielone okiennice. Za domem rósł gęsty świerkowy las. Podwórze było małe, zarośnięte trawą, bez ani jednego kwiatka. Za to nad niskimi drzwiami pięła się bujnie róża, której krwistoczerwone kwiaty dziwnie kontrastowały z surowością otoczenia. Wydawało się, jakby dobijała się do tego ponurego domu, tryskając radością życia.

Eric zapukał do drzwi z nadzieją, że może otworzy mu Kilmeny. Jednak po chwili uchylili ją kobieta o surowym wyglądzie, w prostej sukni z ciemnego perkalu. Jej piękne ciemne włosy były nieznacznie przyprószone siwizną, a pociągła, blada twarz, choć poznaczona zmarszczkami, nosiła ślady dawnej urody. Głęboko osadzone jasnoszare oczy mierzyły Erica z nieukrywaną wrogością, ale miały w sobie pewną łagodność. W całej tej kościstej postaci odzianej w zgrzebną suknię była jakaś godność, która się Ericowi spodobała. W każdym razie wołał jej posępne milczenie od tak powszechnej wulgarnej gadatliwości.

Zdjął kapelusz.

– Czy mam zaszczyt rozmawiać z panną Gordon? – spytał.

- Jestem Janet Gordon – odparła oschle kobieta.
- Chciałbym porozmawiać z panią i pani bratem.
- Proszę wejść.

Cofnęła się do sieni i wskazała mu niskie brązowe drzwi po prawej.

– Niech pan spocznie. Zawołam Thomasa – dodała chłodno i niespiesznym krokiem oddaliła się korytarzem.

Eric wszedł do bawialni i posłusznie usiadł. Nigdy nie widział tak staroświeckiego pokoju. Przy tych solidnych meblach z ciemnego drewna wypolerowanego przez lata nawet „komplet bawialniany” pani Williamson, czyli tapicerowane krzesła wypchane końskim włosiem, zdawał się ekstrawagancko nowoczesny. Na podłodze z malowanych desek leżały okrągłe tkane dywaniki. Pośrodku stołu stała lampa oraz leżały Biblia i jakieś teologiczne księgi będące pewnie rówieśnikami mebli. Na ścianach pokoju, do połowy pokrytych starą boazerią, a w górnej części ciemną tapetą w romby, wisiały spłowiałe sztychy, przedstawiające głównie osoby duchowne w togach i perukach.

Jednak uwagę Erica przyciągnął portret wiszący nad czarnym obramowaniem kominka, na który padał właśnie przez okno czerwony blask zachodzącego słońca. Była to powiększona, retuszowana fotografia dziewczyny. Eric od razu się domyślił, że przedstawia Margaret Gordon, bo choć ta twarz nie przypominała wrażliwej, uduchowionej buzi Kilmeny, od razu zauważało się podobieństwo w zarysie czoła i brody.

Urodę twarzy z fotografii podkreślały aksamitna czerń oczu i barwny retusz, ale Erica najbardziej zafascynował jej wyraz. Nigdy dotąd nie widział oblicza, z którego biłaby taka stanowczość. Margaret Gordon od dawna spoczywała w grobie, portret był tandetny i oprawiony w ohydny złoconą ramę, a jednak siła wyrazu twarzy nadal działała na otoczenie. Jakaż więc musiała być moc osobowości Margaret Gordon?

Eric pomyślał, że ta kobieta bezwzględnie i bez wahania narzucała ludziom swoją wolę. Zapewne na nic się zdał wszelki opór, bo potrafiła urabiać innych i zmuszać ich do spełniania własnych życzeń. Teraz pojmował lepiej, dlaczego Kilmeny wychowywano w tak szczególny sposób.

„Gdyby ta kobieta powiedziała mi, że jestem brzydki, zapewne bym jej uwierzył – pomyślał. – Nawet gdybym miał lustro, które zaprzecza jej opinii, do głowy by mi nie przyszło podważenie jej słów. Moc bijąca z tego ładnego, młodego oblicza jest wręcz niepokojąca. Malują się też na nim duma i upór. Kilmeny wcale nie przypomina matki, jeśli chodzi o wyraz twarzy, nikłe podobieństwo widać jedynie w rysach”.

Te rozmyślenia przerwało wejście Gordonów. Thomas najwyraźniej został oderwany od pracy. Bez słowa skinął głową na powitanie, po czym wraz z Janet usiedli z ponurymi minami naprzeciwko Erica.

– Panie Gordon, przyszedłem, aby porozmawiać o pańskiej siostrzenicy – zaczął prosto z mostu Eric, widząc, że z tą posepną parą nie ma co bawić się w ceregiele. – Natknąłem się na pańskiego... natknąłem się w sadzie Connorów na Neila Gordona i dowiedziałem się, że powiedział państwu o moich spotkaniach z Kilmeny.

Zamilkł. Thomas Gordon znów skinął głową, ale się nie odezwał ani nie oderwał oczu od zarumienionej twarzy młodzieńca. Janet siedziała całkiem nieruchomo, jakby zastygła w oczekiwaniu.

– Obawiam się, że w związku z tym ma pan o mnie złe zdanie. Ale doprawdy na to nie zasługuję. Proszę pozwolić mi wszystko wyjaśnić. Trzy tygodnie temu przypadkowo spotkałem pańską siostrzenicę w sadzie i usłyszałem grę na skrzypcach. Jej muzyka mnie zachwyciła, więc odtąd przychodziłem do sadu, by jej posłuchać. Nie zamierzałem w żaden sposób skrzywdzić Kilmeny, panie Gordon. Traktowałem ją jak dziecko wymagające tym większej ochrony z powodu jej ułomności. Jednak ostatnio przyszło mi na myśl, że postępowałem niewłaściwie, umawiając się z nią w sadzie. Wczoraj wieczorem poprosiłem, by przyprowadziła mnie tutaj i przedstawiła panu oraz swojej ciotce. Przyszlibyśmy od razu, gdyby byli państwo w domu. A tak, umówiliśmy się na dzisiaj. Mam nadzieję, że pozwoli mi pan widywać swoją siostrzenicę, panie Gordon – ciągnął z przejęciem Eric. – Chciałbym spotykać się z nią tutaj. Nie proszę o przyjazne traktowanie jedynie na podstawie własnych zapewnień. Może pan zasięgnąć opinii o mnie u szanowanych obywateli Charlottetown i Queenslea. Chętnie udzielę mi

referencji...

– Nie są konieczne – uciął spokojnie Thomas Gordon. – Wiem o panu więcej, niż pan sądzi. Znam ze słyszenia pańskiego ojca, a nawet go kiedyś widziałem. Wiem, że jest pan synem zamożnego człowieka, choć z niewiadomych powodów zachciało się panu uczyć w wiejskiej szkole. Ponieważ najwyraźniej nie chciał pan, by znano pana prawdziwą pozycję, ja też trzymałem język za zębami. Nie słyszałem o panu nic złego ani nic takiego nie myślę, wierząc, że nie zamierzał pan zwabiać Kilmeny na spotkania bez wiedzy jej bliskich. Ale to wszystko nie znaczy jeszcze, że jest pan dla niej odpowiednim przyjacielem, a wręcz przeciwnie. Im rzadziej będzie pana widywać, tym lepiej.

Eric niemal zerwał się z miejsca, by zaprotestować, ale natychmiast przypomniał sobie, że może zdobyć Kilmeny tylko wówczas, gdy uda mu się przekonać do siebie Thomasa Gordona. Na razie szło mu lepiej, niż oczekiwał, nie mógł teraz popsuć wszystkiego brakiem rozwagi albo niecierpliwością.

– Dlaczego pan tak myśli, panie Gordon? – spytał, z trudem odzyskując panowanie nad sobą.

– Powiem wprost, bo tak będzie najlepiej. Gdyby nadal widywał pan często Kilmeny, prawdopodobnie zadurzyłaby się w panu. Bo nie sądzę, aby już to nastąpiło. No a potem, gdy pan odjedzie, to mogłoby jej złamać serce, ponieważ jest bardzo uczuciowa. A żyje jej się całkiem dobrze. Wiem, że ludzie potępiają nas za sposób jej wychowania, ale nie wszystko wiedzą. Z różnych względów tak było najlepiej. Nie chcemy, by ktoś ją unieszczęśliwił.

– Ale ja kocham pańską siostrzenicę i chcę się z nią ożenić, jeśli zdobędę jej wzajemność – oświadczył Eric.

Tak ich zaskoczył, że zupełnie stracili rezon. Zastygli w bezruchu i gapili się na niego, jakby nie mogli uwierzyć własnym uszom.

– Ożenić się z nią! – wykrzyknął z niedowierzaniem Thomas Gordon. – Chyba nie mówi pan poważnie! Przecież Kilmeny jest niemową!

– Bardzo żałuję tego, ze względu na nią, ale i tak ją kocham – odparł Eric. – Powtarzam raz jeszcze. Chcę, by Kilmeny została moją żoną.

Thomas Gordon pochylił się i wbił zasepiony wzrok w podłogę, ściągając krzaczaste brwi. Niepewnie postukiwał o siebie stwardniałymi opuszkami palców. Widać było, że ten nieoczekiwany zwrot w rozmowie kompletnie zbił go z tropu.

– A co powiedziałby na to pański ojciec? – spytał wreszcie.

– Zawsze powtarza, że mężczyzna powinien wybrać sobie żonę wedle własnego uznania – odparł Eric z uśmiechem. – Myślę, że jeśliby nawet miał jakieś zastrzeżenia, znikną, kiedy tylko ujrzy Kilmeny. A zresztą tutaj przede wszystkim liczy się to, co ja mówię. Jestem wykształcony i nie boję się pracy. Nawet gdybym miał polegać tylko na sobie, w ciągu paru lat potrafię stworzyć Kilmeny dom. Proszę tylko o szansę zdobycia jej uczucia.

– No nie wiem... – powiedział Thomas Gordon, kręcąc głową. – Teraz pan oczywiście sądzi, że... – próbował powiedzieć „kocha”, ale przez swą szkocką powściągliwość wzdrygnął się przed tym okropnym słowem – lubi Kilmeny, ale jest pan jeszcze młody, a młodzi są zmienni w uczuciach.

– Moje się nie zmieni – zapewnił zarliwie Eric. – To nie jakiś tam kaprys, panie Gordon. Taka miłość zdarza się tylko raz w życiu. Jestem wprawdzie młody, ale wiem, że Kilmeny została mi przeznaczona. Nie rzucam tych słów pochopnie. Dobrze przemyślałem całą sprawę i przyjrzałem się jej z każdej strony. I wszystko sprowadza się do tego, że kocham Kilmeny i chcę mieć prawo do tego, do czego ma każdy uczciwy mężczyzna kochający szczerze kobiety: szansy na zdobycie jej wzajemności.

– No cóż... – Thomas Gordon wziął głęboki oddech, który zabrzmiał jak westchnienie. – Skoro takie są pańskie uczucia... sam nie wiem. Może nie powinniśmy się sprzeciwiać... Janet, co mam odrzec na to?

Janet Gordon jak dotąd nie wypowiedziała ani słowa. Siedziała sztywno wyprostowana na jednym ze starych krzeseł pod natarczym spojrzeniem Margaret z portretu. Spracowane dłonie zaciskała na rzeźbionych podłokietnikach i nie spuszczała oczu z twarzy Erica. Najpierw odbijała się w nich wrogość, ale w trakcie rozmowy rezerwa stopniowo ustępowała i teraz Janet patrzyła niemal przyjaźnie. Kiedy

brat zwrócił się do niej, drgnęła i powiedziała z przejęciem:

– Czy pan wie, że na pochodzeniu Kilmeny jest skaza?

– Wiem, że jej matka była niewinną ofiarą smutnej pomyłki, panno Gordon. Nie widzę żadnej hańby w tym, że ktoś nieświadomie robi coś złego. A nawet gdyby jej matka ponosiła jakąś winę, nie można by przenosić jej na Kilmeny.

Wyraz twarzy Janet Gordon nagle cudownie się zmienił. Jej ponuro zaciśnięte usta się rozluźniły, a chłodne szare oczy zajaśniały pod wpływem powstrzymywanej długo czułości.

– No dobrze – powiedziała niemal triumfalnym tonem. – Jeśli nie zniechęca pana ani jej pochodzenie, ani niemota, nie widzę powodu, by odmówić szansy, o którą pan prosi. Być może pański świat uzna, że Kilmeny nie jest pana warta, ale to nieprawda – dodała prawie wyzywająco. – To dobra, niewinna dziewczyna o szczerym sercu. Jest bystra, mądra, a urody jej też nie brakuje. Thomasie, dajmy zgodę.

Thomas Gordon wstał, jakby uznał, że zrzucił z siebie brzemię odpowiedzialności, a rozmowa dobiegła końca.

– Dobrze, Janet, jeśli sądzisz, że to rozsądne. I niechaj Bóg poczyna sobie z nim tak, jak on z nią. Może pan nas odwiedzać, kiedy panu przyjdzie ochota. Do zobaczenia. A teraz muszę już wracać do roboty. Zostawiłem konie na polu.

– Pójdę na górę i przyślę do pana Kilmeny – powiedziała cicho Janet.

Zapaliła lampę stojącą na stole i wyszła. Kilka minut później zjawiała się Kilmeny. Eric wstał i z zapalem skoczył ku niej, ale dziewczyna tylko podała mu powściągliwie dłoń, unikając jego wzroku.

– Widzisz, że jednak miałem rację – powiedział z uśmiechem. – Twój bliscy wcale mnie nie przegonili. Wręcz przeciwnie, byli bardzo uprzejmi i pozwolili mi się z tobą widywać.

Uśmiechnęła się i podeszła do stołu, aby mu odpisać.

„Ale wczoraj wieczorem bardzo się rozżalili i mówili okropne rzeczy. Bałam się i czułam się nieszczęśliwa. Chyba myśleli, że zrobiłam coś złego. Wuj Thomas powiedział, że już nigdy nie spuści mnie z oka. Kiedy ciocia Janet przyszła teraz i powiedziała, że tu jesteś, a ja mogę do Ciebie zejść, aż trudno mi było w to uwierzyć. Patrzyła przy tym na

mnie bardzo dziwnie, ale widać było, że się już nie gniewa. Wydawała się zadowolona, a jednocześnie smutna. Ale cieszę się, że nam wybaczyli”.

Nie wyjawiała mu, jak bardzo się cieszy, że go widzi, ani jak dręczyła ją myśl, że już nigdy go nie zobaczy. Jeszcze poprzedniego wieczoru wszystko by mu otwarcie wyznała, ale zdawało się, jakby wczoraj było w innej epoce. Sama o tym nie wiedząc, nabrała kobiecej godności i rezerwy. Pocałunek Erica, słowa ciotki i wuja, pierwsza bezsenna noc i poduszka mokra od łez – wszystko to sprawiło, że poznała swoje nowe ja. Jeszcze nawet nie roiła o tym, że może kochać Erica Marshalla ani że on ją kocha. Ale przestała być dzieckiem, z którym beztrąsko spędza się czas, a stała się kobietą, o której względy trzeba umiejętnie zabiegać.



13 PIĘKNOŚĆ

ODTĄD ERIC MARSHALL był częstym gościem w domu Gordonów. Oboje zresztą bardzo go polubili, zwłaszcza Janet. Eric też miał dla nich wiele sympatii, bo z czasem przekonał się, że pomimo różnych dziwactw mają kryształowe charaktery. Thomas Gordon był zadziwiająco odczytany i rozkładał Erica na łopatki w każdej dyskusji, kiedy tylko zdołał wystarczająco się rozkręcić. Młody człowiek niemal go nie poznał, kiedy po raz pierwszy zobaczył Thomasa tak zaangażowanego w rozmowę: wyprostowany, z błyskiem w oku, zarumieniony, mówił tubalnym głosem. Zalał rozmówcę potokiem elokwencji i zmiotł jego argumenty jak górski strumień porywa słomkę. Eric ucieszył się ze swojej porażki, ale Thomas Gordon wstydził się, że tak wyszedł z siebie, i przez następny tydzień jego udział w rozmowie ograniczał się do „tak” lub „nie” czy też do uwagi, że „idzie na zmianę pogody”.

Janet nie wtrącała się do rozmów o kościele i państwie, uważając, że nie są to tematy dla kobiet. Jednak słuchała z zainteresowaniem, kiedy Eric i Thomas przerzucali się faktami, danymi statystycznymi i opiniami, a kiedy Ericowi udało się czasem zdobyć punkt w dyskusji, uśmiechała się pod nosem.

Neila Eric widywał rzadko. Młody Włoch go unikał, a kiedy przypadkiem się spotkali, mijał go ze spuszczonej posepnie wzrokiem. Eric zresztą w ogóle się nim nie przejmował, ale Thomas Gordon, który

domyślił się, co kryje się za donosem o schadzkach w sadzie, powiedział Kilmeny wprost, że nie powinna spoufalać się z Neilem tak jak poprzednio.

– Byłaś dla niego zbyt dobra, dziewczusko, to się rozbestwił. Trzeba go utemperować. Myślę, że wszyscy pozwalaliśmy mu na zbyt wiele.

Jednak większość rozkosznych godzin zalotów Eric spędzał w sadzie. Wokół dawnego ogródka kwitła teraz gęstwa różanych krzewów. Były tam róże czerwone jak zachodzące słońce, różowe jak niebo o brzasku, białe jak śnieżne czapy na górskich szczytach, róże w pełnym rozkwicie i różyczki w pączkach, od których słodsza była tylko twarzyczka Kilmeny. Jedwabiste płatki słały się gęsto przy starych ścieżkach albo przywierały do bujnej trawy, na której leżał rozmarzony Eric, słuchając Kilmeny grającej na skrzypcach.

Eric obiecał sobie, że kiedy Kilmeny zostanie jego żoną, zrobi wszystko, by rozwijać jej talent. Grała teraz jeszcze bardziej przejmująco niż kiedyś, jakby czerpała swój kunszt wprost z rozkwitającego serca.

Dla Erica każdy dzień był jak kolejna zwrotka idylli. Dawniej ani mu się śniło, że miłość może być tak potężna, a świat tak piękny. Nie wiedział, czy kosmos jest dość duży, by pomieścić jego radość, a wieczność na tyle długa, by móc ją przeżyć. Tymczasem całe jego życie zawierało się w sadzie, w którym zabiegał o względy ukochanej. Wszelkie ambicje, plany i nadzieje zostały odłożone na bok wobec tego jedyne go celu. Jego osiągnięcie miało je rozbuchać, niepowodzenie zaś odebrałoby im wszelką rację bytu. Świat, w którym żył kiedyś, wydawał się Ericowi bardzo odległy i zupełnie zapomniał o tamtych sprawach.

Ojciec, kiedy dowiedział się, że Eric podjął na rok pracę w szkole w Lindsay, przysłał cierpki list, w którym oprócz zdumienia wyraził również przypuszczenie, że Eric postradał rozum.

„Czy chodzi o jakąś dziewczynę? – pytał wprost. – Zapewne tak, bo cóż trzymałoby Cię w Lindsay? Uważaj, Ericu, zawsze aż nadto kierowałeś się rozsądkiem. Mężczyzna musi choć raz stracić głowę, a skoro nie przeszedłeś przez to wcześniej, pewnie dopadło Cię teraz”.

David również napisał, w poważniejszym tonie, ale nie wyraził podejrzeń, które zdaniem Erica miał.

„Pocziwy David – pomyślał. – Trzęsie się ze strachu, że

zamierzam zrobić coś, czego on nie zaaprobuje, ale nie powie ani słowa, aby nie wyciągać mnie na zwierzenia”.

Oczywiście wieść, że „Pan Nauczyciel” chodzi w konkury do Gordonów szybko rozniosła się po Lindsay. Pani Williamson zachowała dyskrecję, a Gordonowie, rzecz jasna, też nikomu nic nie mówili, ale sprawa się wydała i wywołała poruszenie oraz mnóstwo plotek. Parę osób niebaczenie odważyło się powątpiewać w rozsądek nauczyciela w jego obecności, ale więcej nie powtórzyło tego eksperymentu. Ludzi roznosiła ciekawość. O Kilmeny krążyły setki przesadzonych opowieści. Mądrzy ludzie kręcili głowami, a większość była zgodna, że szkoda nauczyciela. Taki wspaniały młodzieniec mógłby przecież mieć każdą, a wybrał dziwną, niemą siostrzenicę Gordonów, wychowaną w pogański sposób. No ale serce nie sługa. Domyślano się, że Neil Gordon nie jest zachwycony. Zrobił się okropnie ponury i nie chciał już nawet śpiewać w kościele. Jednym słowem, od plotek aż kipiało.

Jednak dla tych dwojga z sadu to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Kilmeny nic nie wiedziała o plotkach. Dla niej Lindsay było tak samo nieznanym światem jak rodzinne miasto Erica. Jej myśli bujały w obłokach wyobraźni, ale nigdy nie zapędzały się za opłotki rzeczywistości, które otaczały dziwne życie dziewczyny. Wyrosła na piękną, wyjątkową istotę. Czasem Eric prawie żałował, że pewnego dnia będzie musiał wyrwać ją z jej białej samotni i wprowadzić w świat, który bądź co bądź był tylko Lindsay na większą skalę, z całą jego małodusznością i ograniczonością. Chciałby zatrzymać Kilmeny na zawsze dla siebie w tym starym, osłoniętym przez świerki sadzie, gdzie sypały się płatki róż.

Pewnego dnia postanowił wreszcie zrobić coś, o czym myślał od chwili, gdy Kilmeny wyznała, że uważa się za brzydką. Poprosił Janet, aby pozwoliła mu przynieść do domu lustro. Chciał być tą osobą, dzięki której Kilmeny dowie się, jak wygląda. Janet miała jednak obiekcje.

– Nie mieliśmy lustra przez szesnaście lat. Kiedyś były trzy – w pokoju gościnnym, małe lusterko w kuchni, no i u Margaret. Stłukła wszystkie pewnego dnia, gdy zauważyła, że Kilmeny będzie ładna. Niby mogłam sobie sprawić jakieś po jej śmierci, ale o tym nie pomyślałam. Zresztą nie lubię, gdy się dziewczyny mizdrzą przed lustrem.

Jednak Eric tak długo prosił i zręcznie argumentował, że Janet w końcu się zgodziła.

– No dobrze, niech będzie. Zresztą pewnie i tak by pan postawił na swoim. Należy pan do tych ludzi, którzy robią, co chcą – powiedziała. – Ale na szczęście nie wymusza pan niczego siłą – dodała pod nosem.

W następną sobotę Eric pojechał do miasta i wybrał piękne lustro, które wysłał statkiem do Radnor. Potem Thomas Gordon przywiózł je do domu, nie wiedząc, co to jest, bo Janet uznała, że tak będzie lepiej.

– To prezent od nauczyciela dla Kilmeny – zdradziła mu tyłko.

Po podwieczorku wysłała Kilmeny do sadu, a Eric zakradł się do domu od strony drogi. Rozpakowali z Janet lustro i powiesili w bawialni.

– Jeszcze nigdy takiego wielkiego nie widziałam – powiedziała Janet z powątpiewaniem, jakby nie ufała lśniącej, perłowej głębi i zdobionej ramie. – Mam nadzieję, że nie stanie się przez to próżna.

– Skoro nie zaszkodziło jej przekonanie, że jest brzydka, nie zaszkodzi, gdy się przekona, że jest ładna – zapewnił Eric.

Ale Janet nie pojmowała takich mądrości. Ostrożnie zdjęła pyłek z tafli lustra i skrzywiła się, zerknąwszy na swoje odbicie.

– Nie wiem, skąd Kilmeny przyszło do głowy, że jest brzydka – obruszyła się.

– Matka tak jej powiedziała – wyjaśnił Eric z goryczą.

– Ach! – Janet zerknęła na portret siostry. – Doprawdy? Margaret była dziwną kobietą. Chyba uważała własną urodę za pułapkę. A naprawdę była śliczna. Ten portret tego w pełni nie oddaje. Nigdy go nie lubiłam. Fotografię zrobiono, zanim... poznała Ronalda Frasera. Wtedy uważaliśmy, że nie jest tu do siebie podobna. Ale trzy lata później tak właśnie zaczęła wyglądać. Pojawił się ten wyraz twarzy...

– Kilmeny raczej nie przypomina matki – wtrącił Eric, jak zawsze zerkając na zdjęcie z mieszaniną fascynacji i niechęci. – Czy jest podobna do ojca?

– Nie bardzo, choć podobnie się rusza. Ona wygląda zupełnie jak jej babka, matka Margaret. Też miała na imię Kilmeny i była ładną, uroczą kobietą. Bardzo lubiłam swoją macochę. Kiedy umierała, dała mi swoje dziecko i poprosiła, bym mu matkowała. Cóż, próbowałam, ale nie potrafiłam ochronić Margaret przed cierpieniem, i czasem myślę, że

z Kilmeny też mi się to może nie udać.

– To będzie moje zadanie – odparł Eric.

– Nie wątpię, że się pan postara. Jednak może właśnie przez pana będzie cierpiała.

– Przecież jej nie skrzywdzę.

– Nie mówię, że robi pan to świadomie. Ale czasem mam złe przeczucia. Och, jestem tylko starą głupią kobietą. Niech pan przyprowadzi tu swoją dziewczynę i pokaże jej tę zabawkę. Nie będę się wtrącać.

Janet poszła do kuchni, a Eric udał się na poszukiwania Kilmeny. Nie było jej w sadzie i znalazł ją dopiero po jakimś czasie. Stała pod brzozą na polu za sadem, oparta o płot, z dłońmi przyciśniętymi do policzka. Trzymała w nich białą lilię z sadu. Nie wybiegła mu na spotkanie, kiedy przechodził przez pastwisko, jak by kiedyś zrobiła. Czekwała nieporuszona, a kiedy był już blisko, zaczął ze śmiechem, a zarazem czułością recytować fragment ballady o jej imienniczce:

Kilmeny piękna, dziewczeczko miła,

Gdzieżeś ty była, kędyś chodziła?

Czy się schroniłaś w zielonym gaju?

Może chłodziłaś stopy w ruczaju?

Róż białych trzymasz naręcze całe

Kilmeny piękna, gdzieś je zerwała?

– Tylko że ty trzymasz lilię. Mógłbym cytować dalej:

Nie wie, co odrzec, i słowa waży.

Nie ma uśmiechu na pięknej twarzy.

– Dlaczego jesteś taka poważna? – spytał.

Kilmeny nie miała ze sobą notesu, więc nie mogła mu

odpowiedzieć, ale po wyrazie jej oczu Eric się domyślił, że pewnie z goryczą zestawiała urodę bohaterki ballady z własną rzekomą brzydotą.

– Chodź do domu, Kilmeny. Chcę ci tam coś pokazać. Jeszcze nigdy czegoś tak ładnego nie widziałaś – powiedział z chłopięcą radością w oczach. – Proszę, byś włożyła tę muślinową suknię, którą miałaś na sobie w niedzielę i tak samo jak wtedy upięła włosy. No, pędź, nie czekaj na mnie. Tylko nie wchodź do bawialni, dopóki nie przyjdę. Chcę jeszcze nazrywać lilii w sadzie.

Kiedy Eric wrócił do domu z naręczem białych lilii o długich łodyżkach, Kilmeny schodziła właśnie po stromych, wąskich schodach przykrytych tkanym ręcznie, pasiastym chodnikiem. Jej uroda wręcz jaśniała na tle ciemnej boazerii, w półmroku korytarza.

Miała na sobie powłóczystą, dopasowaną kremową suknię, która należała kiedyś do jej matki. Krój pozostał taki sam, bo w domu Gordonów moda się nie liczyła, a Kilmeny uważała, że sukni niczego nie brakuje. Zresztą było jej w tym staroświeckim stroju wyjątkowo do twarzy. Mały dekolt odsłaniał zgrabną, białą szyję, a smukłe dłonie dziewczyny wychylały się z długich bufiastych rękawów niczym kwiaty z pąków. Swoje długie warkocze upięła na głowie jak koronę. Z lewej strony wetknęła białą różę.

Eric, patrząc na nią, wyszeptał:

Wyrzekłby się rozkoszy wszelakich,

Oddał bogactwa nie lada jakie,

Złożyłby wraz z sercem w dani,

Całując cudne usta swej pani⁷.

A nieco głośniej dodał:

– Weź te lilie i trzymaj tak, by kwiaty spoczęły na twoim ramieniu, o tak – powiedział, kiedy zeszła. – A teraz daj mi rękę i zamknij oczy. Nie otwieraj ich, dopóki ci nie powiem.

Zaprowadził ją przed lustro w bawialni.

– Spójrz! – zawołał wesoło.

Kilmeny otworzyła oczy i spojrzała prosto w lustro, w którym, niby piękny portret w złotej ramie, ujrzała swoje odbicie. Przez chwilę stała oszołomiona. Potem zrozumiała, na co patrzy. Lilie upadły na podłogę, a ona pobladła. Z cichym, mimowolnym okrzykiem zakryła twarz dłońmi.

Eric łagodnie je odciągnął.

– Kilmeny, czy teraz też myślisz, że jesteś brzydka? To lustro lepiej oddaje prawdę niż cukiernica twojej ciotki. Spójrz! Czy widziałaś kiedy taką ślicznotkę?

Teraz się zarumieniła, zerkając co rusz nieśmiało i radośnie w lustro. Z uśmiechem wzięła notesik i napisała naiwnie:

„Myślę, że całkiem przyjemnie na mnie popatrzeć. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. To okropne myśleć, że jest się brzydkim. Do tego nie sposób się przyzwyczaić. Człowiek cierpi za każdym razem, kiedy sobie o tym przypomni. Ale dlaczego matka powiedziała mi, że jestem brzydka? Czy naprawdę tak uważała? Może gdy dorosłam, zaczęłam lepiej wyglądać”.

– Pewnie twoja matka uważała, że uroda nie przynosi szczęścia, Kilmeny, a więc chciała ukryć przed tobą, że jesteś piękna. Chodź, wróćmy teraz do sadu. Nie marnujmy tego wyjątkowego wieczoru w domu. Zaraz będzie zachód słońca, który zapamiętamy na całe życie. Lustro tu zostanie. Jest twoje. Ale nie patrz w nie zbyt często, bo narazisz się ciotce. Boi się, że przez nie możesz stać się próżna.

Z ust Kilmeny wyrwał się dźwięczny śmiech, co nie zdarzało się często. Za każdym razem, gdy Eric go słyszał, dziwił się, że dziewczyna potrafi się tak śmiać, ale nie może mówić. Kilmeny posłała swemu odbiciu w lustrze buziaka i odwróciła się od niego radośnie uśmiechnięta.

W drodze do sadu spotkali Neila. Minął ich z odwróconą twarzą, ale Kilmeny zadrzała i bezwiednie przysunęła się do Erica.

„Zupełnie nie rozumiem teraz Neila – napisała, nerwowo wodząc ołówkiem. – Nie jest tak miły, jak kiedyś, a czasem nie reaguje, kiedy się do niego zwracam. Dziwnie na mnie patrzy. Poza tym odzywa się opryskliwie do wujka i cioci”.

– Nie przejmuj się nim – rzucił lekko Eric. – Pewnie się dąsa, bo nagadałem mu trochę, kiedy odkryłem, że nas szpiegował.

Tej nocy, nim poszła na górę spać, Kilmeny zakradła się do bawialni, by w świetle przyniesionej świecy jeszcze raz spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Stała przed nim rozmarzona, kiedy w drzwiach ukazała się ponura twarz ciotki Janet.

– Podziwiasz swój wygląd, Kilmeny? Ale pamiętaj, że uroda nie jest najważniejsza – powiedziała z niechętnym podziwem, który mimowolnie odczuwała, patrząc na zarumienioną twarz i błyszczące oczy dziewczyny.

Kilmeny uśmiechnęła się łagodnie.

„Będę pamiętać, ciociu Janet – napisała. – Ale tak się cieszę, że nie jestem brzydka! To chyba nic złego?”

Twarcz starej kobiety złagodniała.

– Chyba nie – przyznała. – Za urodę trzeba być wdzięcznym, najlepiej wiedzą o tym ci, którzy nigdy jej nie mieli. Dobrze pamiętam czasy, gdy byłam dziewczyną, ale to dawne dzieje. Nauczyciel uważa cię za piękność, Kilmeny – dodała, bacznie się jej przyglądając.

Kilmeny zamarła w bezruchu i oblała się szkarłatnym rumieńcem. Do tego jeszcze nagle zmienił się wyraz jej oczu. Janet odgadła więc wszystko, co chciała wiedzieć. Zdławiła westchnienie, życzyła siostrzenicy dobrej nocy i odeszła.

Kilmeny popędziła po schodach do swojego ciemnego pokoiku, w którym okno wychodziło na świerkowy zagajnik. Rzuciła się na łóżko i ukryła rozpaloną twarz w poduszce. Słowa ciotki odkryły przed nią sekret skrywany we własnym sercu. Wiedziała teraz, że kocha Erica Marshalla, a wraz z tą świadomością zrodził się dziwny niepokój. Przecież jest niemową! Przez całą bezsenną noc wpatrywała się w ciemność szeroko otwartymi oczami. Aż wreszcie nastał brzask.



14 SZLACHETNE WYRZECZENIE

PRZY NASTĘPNYM SPOTKANIU Eric dostrzegł w Kilmeny zmianę, która go zaniepokoiła. Była powściągliwa, rozkojarzona, a nawet jakby skrępowana. Kiedy zaproponował spacer do sadu, zgodziła się z ociąganiem. W następnych dniach utwierdził się w przekonaniu, że coś się zmieniło. Coś stanęło między nimi. Kilmeny wydawała się odległa, jak jej imienniczka z ballady, która przebywała siedem lat w krainie, gdzie „deszcze nigdy nie padały, a wichry nigdy nie szalały”, a powróciła stamtąd wyprana z wszelkich ziemskich uczuć.

Eric chodził jak struty przez cały tydzień, aż wreszcie postanowił, że musi otwarcie porozmawiać z Kilmeny. Pewnego wieczoru wyznał jej w sady miłość.

Był już sierpień, dojrzałe łany czekały na żniwa. Ten łagodny fiołkowy wieczór wydawał się stworzony do miłości. Ciszę przenikał tylko odległy szum fal rozbijających się o skalisty brzeg. Kilmeny siedziała na starej ławce, na której niegdyś zobaczył ją po raz pierwszy. Zaczęła dla niego grać, ale wkrótce skrzywiła się z niezadowoleniem i odłożyła skrzypce.

Może nie chciała grać w obawie, że jej świeżo odkryte uczucie przejawia się mimowolnie w muzyce. Trudno byłoby tego uniknąć, bo od dawna wyrażała emocje dźwiękami skrzypiec. Drażniło ją, że musi się hamować, a przez to smyczek niezdarnie dotykał strun. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek pragnęła mówić. Słowa pomogłyby ukryć

i ochronić to, co mogło zdradzić milczenie.

Cichym, drżącym z przejęcia głosem Eric wyznał Kilmeny miłość. Powiedział, że kocha ją od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał ją w sadzie. Mówił z pokorą, ale bez lęku, bo czuł, że jego miłość jest odwzajemniona i nie spodziewał się odmowy.

– Kilmeny, czy zostaniesz moją żoną? – spytał wreszcie, ujmując jej dłonie.

Dziewczyna słuchała z odwróconą twarzą. Najpierw mocno się zarumieniła, ale potem bardzo pobladła. Kiedy skończył mówić i czekał na odpowiedź, nagle cofnęła dłonie, zakryła nimi twarz i wybuchła bezgłośnym płaczem.

– Kilmeny, kochana, czy cię wystraszyłem? Na pewno wiedziałaś już wcześniej, że cię kocham. A ty mnie nie kochasz?

Otoczył ją ramieniem i próbował przyciągnąć do siebie. Jednak ona tylko pokręciła głową i napisała mu z zaciśniętymi ustami:

„Tak, kocham Cię, ale nigdy za Ciebie nie wyjdę, bo nie mogę mówić”.

– Och, Kilmeny – odparł z uśmiechem Eric, przekonany, że dopiął już swego. – Dla mnie to bez znaczenia, przecież wiesz. Wystarczy, że mnie kochasz.

Jednak Kilmeny tylko znów pokręciła głową. Na jej bladej twarzy pojawiła się determinacja.

„Nie, nie wystarczy – odpisała. – Bardzo bym Cię skrzywdziła, gdybym za Ciebie wyszła, chociaż jestem niemową. Nie zrobię tego, bo za bardzo Cię kocham. Twój świat uznałby, że popełniłeś straszliwe głupstwo, i miałby rację. Przemyślałam to wiele razy od chwili, gdy pewne słowa cioci Janet uświadomiły mi Twoje uczucia. Przykro mi, że nie rozumiałam tego wcześniej”.

– Kilmeny, kochanie moje, wbiłaś sobie do swej ślicznej główki jakieś kompletne bzdury. Nie rozumiesz, że jeśli nie zostaniesz moją żoną, to unieszczęśliwisz mnie na całe życie?

„Nie, tylko teraz tak myślisz. Wiem, że przez jakiś czas będzie Ci źle. Ale potem wyjedziesz i wkrótce o mnie zapomnisz. Wtedy zrozumiesz, że miałam rację. Ja też będę bardzo nieszczęśliwa. Ale wolę to, niż zniszczyć Ci życie. Nie prosz mnie i nie namawiaj, bo i tak nie

zmienię zdania”.

Jednak Eric prosił i namawiał – najpierw cierpliwie i z uśmiechem, jakby sprzeczał się z niemądrym dzieckiem, potem gwałtownie i żarliwie, kiedy zobaczył, że Kilmeny mówi serio. Wszystko na próżno. Kilmeny jeszcze bardziej zbladła, a po oczach było widać, że cierpi. Nie próbowała nawet się z nim spierać, słuchała go tylko cierpliwie i ze smutkiem, co jakiś czas kręcąc głową. Nic nie mogło jej przekonać.

Jednak Eric nie popadł w rozpacz, bo wcale nie wierzył, że Kilmeny pozostanie przy swoim postanowieniu. Był pewien, że jej miłość w końcu zwycięży, więc wprawdzie wrócił do domu przybity, ale nie załamany. Nie rozumiał, że właśnie siła miłości pomagała Kilmeny oprzeć się jego błaganiom. Kochała go bowiem tak bardzo, że za nic nie zrobiłaby czegoś, co w jej przekonaniu by mu zaszkodziło.



15 PIĘTNO GRZECHU

NASTĘPNEGO DNIA ERIC odnalazł Kilmeny i ponowił swoje błagania, ale znów na próżno. Ze smutną determinacją opierała się wszystkim jego argumentom. Kiedy wreszcie uzmysłowił sobie, że Kilmeny jest niezachwiana w swoim postanowieniu, zrozpaczony poszedł rozmówić się z Janet Gordon. Wysłuchiwała go uważnie, a na jej twarzy malowało się wyraźne rozczarowanie. Kiedy skończył mówić, pokręciła tylko głową.

– Przykro mi, panie Ericu – odezwała się wreszcie. – Nawet pan nie wie, jak bardzo. Miałam nadzieję na coś innego. Wręcz się o to modliłam. Thomas i ja się starzejemy i od lat trapię się tym, co stanie się z Kilmeny, kiedy nas zabraknie. Miałam nadzieję, że znajdzie w panu opiekuna. Jednak skoro Kilmeny mówi, że za pana nie wyjdzie, obawiam się, że nie zmieni zdania.

– Ale przecież ona mnie kocha! – wykrzyknął młody człowiek. – Porozmawiajcie z nią, spróbujcie przekonać...

– To na nic. Oczywiście spróbujemy, ale pewnie i tak nam się nie uda nic wskórać. Kilmeny jest uparta jak jej matka. Zazwyczaj była grzeczna i posłuszna, ale parę razy przekonaliśmy się, że gdy sobie coś wbije do głowy, nie da jej się od tego odwieść. Po śmierci matki Thomas i ja chcieliśmy ją zabrać do kościoła. Nie dała się nakłonić. Wtedy nie wiedziałam dlaczego, a teraz myślę, że to z powodu tego przekonania o własnej szpetocie. Nie wyjdzie za pana właśnie dlatego, że bardzo

pana kocha. Boi się, że pożałuje pan ożenku z niemą dziewczyną. I może ma rację, kto wie...

– Nie zrezygnuję – oświadczył z uporem Eric. – Coś trzeba z tym zrobić. Może da się ją jeszcze wyleczyć. Czy myślała pani kiedyś o tym? Chyba nigdy nie była u specjalisty?

– Nie, panie Ericu, nikt jej nie badał. Kiedy zaczęliśmy się obawiać, że może nie mówić, Thomas chciał ją zabrać do lekarza w Charlottetown. Przepadał za tym dzieckiem i bardzo się o nie martwił. Ale matka Kilmeny nie chciała słyszeć o żadnych lekarzach. Nie było sensu się z nią kłócić. Powiedziała, że to na nic, bo to kara za jej grzech, która spadła na dziecko.

– A wyście się potulnie zgodzili? – spytał niecierpliwie Eric. – Przecież to był jakiś makabryczny wymysł!

– Nie znał pan mojej siostry. Musieliśmy się poddać. Nikt nie potrafił jej się sprzeciwić. Była dziwną kobietą, a nawet pod wieloma względami trochę straszną po tym, gdy spotkało ją to nieszczęście. Nie sprzeciwialiśmy się jej ze strachu, że wpadnie w szal.

– A nie mogliście zabrać Kilmeny do lekarza bez jej wiedzy?

– Nie dało się. Margaret nigdy nie spuszczała jej z oczu, nawet kiedy dziewczyna już podrosła. Poza tym, prawdę mówiąc, sami nie bardzo wierzyliśmy, że warto próbować leczyć Kilmeny. Bo to, co ją spotkało, jest karą za grzech.

– Jak może pani opowiadać takie głupstwa! Gdzież tu grzech? Pani siostra uważała się za prawowitą żonę. Jeśli Ronald Fraser wiedział, że tak wcale nie jest, a nie ma na to dowodów, to on popełnił grzech, ale przecież nie może pani wierzyć, że karę poniosło zań niewinne dziecko!

– Nie o to mi chodzi. Nie tym Margaret zawiniła. A co do Ronalda Frasera, choć nigdy go nie lubiłam, to muszę powiedzieć w jego obronie, że moim zdaniem uważał się za wolnego człowieka, kiedy żenił się z Margaret. Nie, tu chodzi o coś innego, coś o wiele gorszego. Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o tym. Och, panie Ericu, Pismo Święte powiada, że za grzechy rodziców spada kara na dzieci. To święta prawda.

– Co to ma znaczyć, na litość boską? – wykrzyknął Eric. – Niech mi pani wyjaśni. Muszę znać całą prawdę o Kilmeny. Proszę mnie dłużej

nie dręczyć.

– Dobrze, opowiem panu całą historię, chociaż to będzie jak rozdrapywanie starej rany. Nikt poza mną i Thomasem o tym wszystkim nie wie. Kiedy pan mnie wysłucha, zrozumie pan, dlaczego Kilmeny nie może mówić i mało prawdopodobne, by dało się coś dla niej zrobić. Ona nie zna prawdy i nie wolno panu jej zdradzić. To nie jest opowieść dla uszu Kilmeny, bo dotyczy jej matki. Proszę przyrzec, że nigdy, pod żadnym pozorem pan nie wyjawি tego, co ode mnie usłyszysz.

– Przyrzekam. Proszę mówić, szybko! – odrzekł gorączkowo.

Janet Gordon złożyła ręce na kolanach, jakby zbierała siły przed jakimś strasznym zadaniem. Wyglądała bardzo staro, nagle pogłębiły się wszystkie zmarszczki na jej twarzy.

– Moja siostra Margaret była dziewczyną dumną, pełną życia. Ale niech pan nie myśli, że nie dała się lubić. Och, nie, trzeba jej oddać sprawiedliwość. Miała wady jak wszyscy, ale była bystra, wesoła, serdeczna. Wszyscy ją bardzo kochaliśmy. Była naszym domowym słoneczkiem. Tak, zanim spotkało ją nieszczęście, była czarującą dziewczyną, wesołą jak ptaszek. Być może trochę ją rozpuściliśmy, na zbyt wiele pozwalaliśmy. Cóż, słyszał pan o jej małżeństwie z Ronaldem Fraserem i o tym, co się później stało, więc nie muszę do tego wracać. Znam, a raczej znałam dobrze Elizabeth Williamson, więc wiem, że powiedziała panu samą prawdę. Nasz ojciec był bardzo dumnym człowiekiem. Jeśli Margaret była zbyt harda, to wiadomo, po kim to miała. A jej nieszczęście dotknęło go do żywego. Kiedy się dowiedział o skandalu, przez trzy dni nie odezwał się do nas słowem. Siedział w kącie ze spuszczoną głową i nawet nie tknął jedzenia. Był przeciwny jej małżeństwu z Ronaldem Fraserem, więc kiedy wróciła zhańbiona do domu, ledwie przestąpiła próg, a runął na nią z wściekłością. Mam przed oczami tę scenę. Stała przy drzwiach, blada i drżąca, przywarła do ramienia Thomasa, a jej wielkie oczy wyrażały ból i wstyd, a potem gniew. Właśnie zachodziło słońce i czerwony promień wpadający przez okno przeciął jej pierś, co wyglądało jak krwawa plama. Ojciec wyzywał ją strasznym słowem. Postąpił z nią zbyt surowo, muszę to przyznać, choć był moim ojcem. Zbyt okrutnie potraktował dziewczynę ze złamanym sercem, której jedyną przewiną było to, że upierała się przy

swoim wybranku. Ojciec pożałował wyzwiska, ledwie wyszło z jego ust. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nigdy nie zapomnę pełnej gniewu i buntu twarzy Margaret. Do dziś nawiedza mnie po nocach. Jednak Margaret nic nie odpowiedziała, tylko zacisnęła pięści i bez słowa poszła do swojej dawnej sypialni. Kłębiły się w niej straszne uczucia, ale potrafiła je przemilczeć dzięki żelaznej woli. Od tej chwili Margaret nie wyrzekła ani słowa aż do dnia narodzin Kilmeny. Nijak nie zdołaliśmy jej zmiękczyć. A byliśmy dla niej bardzo łagodni, dobrze ją traktowaliśmy i nie ganiliśmy nawet spojrzeniem. Jednak ona z nikim nie chciała rozmawiać. Przeważnie siedziała w swoim pokoju i gapiała się w ścianę strasznym wzrokiem. Ojciec błagał, by przemówiła i żeby mu wybaczyła, ale nigdy nawet nie dała po sobie poznać, że go słyszy. A nie doszłam jeszcze do najgorszego. Ojciec ciężko zachorował. Margaret go nie odwiedzała. Pewnej nocy około jedenastej Thomas i ja czuwaliśmy przy jego łóżku. Nagle powiedział: „Janet, idź na górę i powiedz dziewczuszcze – tak zawsze pieszczotliwie nazywał Margaret – że umieram i chcę z nią porozmawiać, zanim odejdę”. Zrobiłam, jak prosił. Margaret siedziała samotnie w swoim zimnym, ciemnym pokoju i wpatrywała się w ścianę. Powtórzyłam jej słowa ojca. Nie dała po sobie znać, że w ogóle mnie słyszy. Prosiłam i płakałam. Chociaż nigdy wcześniej nie robiłam tego wobec żadnego człowieka, uklęknęłam przed nią i błagałam, by przez wzgląd na własne zbawienie zesła zobaczyć się z umierającym ojcem. Panie Ericu, ona tego nie zrobiła! Ani drgnęła, nie spojrzała na mnie. Musiałam wstać z klęczek, zejść na dół i powiedzieć temu staremu człowiekowi, że ona do niego nie przyjdzie.

Janet Gordon uniosła dłonie i zacisnęła je mocno, poruszona do głębi bolesnymi wspomnieniami.

– Kiedy powiedziałam o tym ojcu, odrzekł tylko, och, tak jakoś łagodnie: „Biedna dziewczyna, byłem dla niej za surowy. To nie jej wina. Ale nie mogę pójść do jej matki, dopóki nasza mała dziewczuska nie wybaczy mi wyzwiska, którym ją obrzuciłem. Thomas, pomóż mi. Jeśli ona nie chce przyjść do mnie, to ja pójdę do niej”. Widzieliśmy, że nie ma sensu się sprzeciwiać. Wstał z łoża śmierci, a Thomas pomógł mu przejść korytarzem, a potem wspiać się po schodach. Szłam za nimi ze świecą. Och, panie Ericu, nigdy tego nie zapomnę – te okropne cienie,

wycie wichru za oknami i rżenie ojca. Ale jakoś udało nam się doprowadzić go do jej pokoju i stanął przed nią drżący, z siwymi włosami opadającymi na wynędzniałą twarz. Zaczął błagać Margaret, by mu wybaczyła i powiedziała do niego chociaż słowo, zanim pójdzie spotkać się z jej matką. Panie Ericu – głos Janet wzniósł się niemal do krzyku – ona się nie odezwała! A przecież chciała to zrobić. Później wyznała mi, że chciała przemówić, ale upór jej nie pozwolił. Tak jakby była we władzy jakichś złych mocy. Ojciec równie dobrze mógłby mówić do ściany. To było straszne. Widziała, że ojciec umiera i nie wyrzekła do niego słowa, o które błagał. Taki właśnie popełniła grzech, przez który kara spadła na jej nienarodzone dziecko. Kiedy ojciec zrozumiał, że Margaret już się do niego nie odezwie, zamknął oczy i omal by nie upadł, gdyby Thomas go nie podtrzymał. „Och, dziewczusko, masz serce z kamienia” – powiedział. To były jego ostatnie słowa. Thomas i ja ponieśliśmy go do jego sypialni, ale wyzionął ducha, nim tam dotarliśmy. Kilmeny urodziła się miesiąc później, a kiedy Margaret poczuła dziecko przy piersi, zła moc, która miała we władzy jej duszę, ustąpiła. Margaret przemówiła, płakała i znów była sobą. Och, jak ona płakała! Prosiła, byśmy jej przebaczyli, a my zrobiliśmy to chętnie i bez zastrzeżeń. Jednak ten, wobec którego zgrzeszyła, odszedł na zawsze i żadne słowa wybaczenia nie mogły dotrzeć do niej zza grobu. Moja biedna siostra już nigdy nie zaznała spokoju sumienia. Ale była łagodna, dobra i pełna pokory, dopóki nie zaczęła się obawiać, że Kilmeny nigdy nie będzie mówić. Wtedy zaczęliśmy się bać, że postrada rozum. I rzeczywiście już nigdy potem całkiem nie wydobrzała. Taka to historia i cieszę się, że dojrzałam do końca. Kilmeny jest niemową, bo jej matka nie chciała przemówić.

Eric wysłuchał tragicznej opowieści z pobladłą twarzą. Przeraziło go okrutne i tajemnicze prawo, zgodnie z którym niewinna istota musi dźwigać czyjś grzech. Chociaż za nic nie chciał się z tym pogodzić, w jego sercu zakiełkowała obawa, że wyleczenie Kilmeny jest rzeczywiście poza ludzkim zasięgiem.

– To straszna historia – powiedział ze smutkiem, a potem wstał i zaczął przechadzać się niespokojnie po kuchni pogrążonej w półmroku, bo okna wychodziły na świerkowy zagajnik. – Jeśli to prawda, że

niemotę Kilmeny spowodowało naumyślne milczenie jej matki, obawiam się, że istotnie nie potrafimy jej pomóc. Ale może to tylko dziwny zbieg okoliczności i coś jednak da się zrobić. W każdym razie musimy spróbować. Mam przyjaciela lekarza w Queenslea. Nazywa się David Baker, jest świetnym specjalistą od chorób gardła i strun głosowych. Poproszę, by przyjechał i zbadał Kilmeny.

– Jak pan chce – zgodziła się Janet bez cienia nadziei w głosie.

– Trzeba będzie powiedzieć doktorowi Bakerowi, dlaczego Kilmeny nie może mówić; czy raczej w czym widzicie przyczynę.

Janet skrzywiła się niespokojnie.

– Czy to konieczne, panie Ericu? Coś takiego opowiadać obcemu...

– Proszę się nie obawiać. Nie powiem mu nic poza tym, co konieczne dla zrozumienia przypadku. Wystarczy, jeśli się dowie, że Kilmeny może być niema, bo przez wiele miesięcy przed jej narodzinami matka była w chorobliwym stanie psychicznym: uporczywie milczała z powodu gorzkich przeżyć.

– Jak pan uważa, panie Ericu.

Janet najwyraźniej nie wierzyła, że można coś zrobić dla jej siostrzenicy. Jednak kiedy Eric powiedział o swoich planach Kilmeny, aż zaróżowiła się z radości.

„Och, myślisz, że potrafi mi pomóc?” – napisała z zapalem.

– Nie wiem, Kilmeny. Mam taką nadzieję. Na pewno zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy. Jeśli zdoła cię wyleczyć, czy zgodzisz się za mnie wyjść, kochana?

Skinęła z powagą głową, jakby uroczyście przysięgała.

„Tak – napisała. – Jeśli będę mogła mówić jak inne kobiety, to za Ciebie wyjdę”.



16 DIAGNOZA DAVIDA BAKERA

W NASTĘPNYM TYGODNIU David Baker przyjechał do Lindsay. Zjawił się po południu, kiedy Marshall był jeszcze w szkole. Gdy Eric wrócił do domu, zobaczył, że David zdołał w ciągu zaledwie godziny zdobyć serce pani Williamson, wkraść się w łaski Timothy'ego oraz spoufalić z Robertem Williamsonem. Kiedy wreszcie znaleźli się sam na sam w pokoju Erica na górze, spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– A teraz, Ericu, wyjaśnij, o co w tym wszystkim chodzi. Czy wpadłeś w jakieś tarapaty? W liście błagałeś mnie w imię przyjaźni, abym natychmiast przyjechał. Tak też zrobiłem. Wyglądasz jak okaz zdrowia. Wyłumacz więc, dlaczego mnie tu ściągnąłeś.

– Proszę, byś wyświadczył mi przysługę, bo tylko ty możesz mi pomóc – odpowiedział spokojnie Eric. – Nie chciałem wdawać się w szczegóły w liście. Poznałem w Lindsay dziewczynę, którą pokochałem. Poprosiłem ją o rękę i choć odwzajemnia moje uczucie, odmówiła, ponieważ jest niema. Chciałbym, abyś ją zbadał i wykrył, skąd się wzięła jej ułomność oraz czy da się coś na nią poradzić. Dziewczyna doskonale słyszy i w ogóle nic jej nie dolega. Żebyś lepiej zrozumiał ten przypadek, muszę opowiedzieć ci o jej życiu.

Eric ciągnął opowieść, a David Baker słuchał z uwagą, nie odrywając oczu od twarzy przyjaciela. Nie pokazał po sobie zdumienia i przerażenia, jakie odczuł na wieść o tym, że Eric zakochał się w niemej

dziewczynie o wątpliwym rodowodzie. Jednak dziwny przypadek wzbudził jego zawodowe zainteresowanie. Kiedy wysłuchał całej historii, włożył ręce do kieszeni i kilkakrotnie przemierzył w milczeniu pokój. Wreszcie zatrzymał się przed Erikiem.

– A więc zrobiłeś dokładnie to, przed czym cię przestrzegałem. Idąc w zaloty, zostawiłeś zdrowy rozsądek.

– Nawet jeśli, to zabrałem ze sobą coś lepszego i szlachetniejszego od rozsądku.

David wzruszył ramionami.

– Będziesz musiał się natrudzić, by mnie o tym przekonać.

– Przeciwnie, to całkiem łatwe. Mam argument, który cię od razu przekona, a jest nim sama Kilmeny Gordon. Ale nie będziemy teraz dyskutować o mojej mądrości lub jej braku. Teraz chcę wiedzieć, co sądzisz o tym przypadku na podstawie tego, co ode mnie usłyszałeś.

David w zamyśleniu zmarszczył brwi.

– Sam nie wiem, co o tym myśleć. Zanotowano już takie niezwykle przypadki, w których prenatalne czynniki wywołały podobny rezultat. Nie przypominam sobie, czy jakiś wyleczono. Zobaczę, czy coś da się zrobić dla tej dziewczyny. Nie mogę się wypowiadać, dopóki jej nie zbadam.

Nazajutrz rano Eric wybrał się z Davidem do Gordonów. Kiedy zbliżali się do sadu, przez żywiczne arkady świerkowego lasu nadpłynęła muzyka. Była jak dziki, bolesny krzyk pełen nieopisanego smutku, ale cudownie piękna.

– Co to?! – wykrzyknął zadziwiony David.

– Kilmeny gra na skrzypcach – odpowiedział Eric. – Jest bardzo utalentowana, potrafi improwizować.

Kiedy weszli do sadu, Kilmeny wstała z ławki, żeby się z nimi przywitać. Szeroko rozwarła piękne, błyszczące oczy, a na zarumienionej twarzy nadzieja mieszała się z lękiem.

– Och! – szepnął oszołomiony David.

Nie potrafił ukryć zdziwienia i Eric uśmiechnął się pod nosem. Nie omieszkał zauważyć, że do tej chwili przyjaciel miał go za szaleńca.

– Kilmeny, to mój przyjaciel, doktor Baker – powiedział.

Kilmeny uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę na powitanie. Kiedy

tak stała, w promieniach porannego słońca obok kępy siostrzanych lili, jej piękność zapierała dech w piersi. David, któremu nie brakowało pewności siebie i potrafił emablować kobiety, czuł się niezręcznie niczym uczeń, kiedy schylał się, by ucałować jej dłoń.

Za to Kilmeny wydawała się czarująco swobodna. W jej zachowaniu nie było śladu zażenowania, choć dało się zauważyć pewną nieśmiałość. Eric uśmiechnął się, przypominając sobie swoje pierwsze spotkanie z dziewczyną. Nagle uświadomił sobie, jak daleko zaszła Kilmeny od tego czasu, jak bardzo się rozwinęła.

Zapraszającym gestem Kilmeny wskazała czereśniową alejkę i ruszyła przez sad, a mężczyźni poszli w ślad za nią.

– Ericu, ona jest niesamowita – powiedział David półgłosem. – Wczoraj, prawdę mówiąc, miałem cię za wariata. Teraz zżera mnie zazdrość. Nigdy nie widziałem takiej piękności.

Eric przedstawił Davida Gordonom, a potem udał się pospiesznie do szkoły. Po drodze spotkał Neila i niemiło go zaskoczył wyraz nienawiści w oczach chłopaka. Zaniepokoił się, ale po chwili zrobiło mu się go żal. Twarz Neila była wynędzniała, oczy zapadnięte i gorączkowo błyszczące. Wyglądał, jakby postarzał się o kilka lat od czasu, kiedy Eric zobaczył go przy potoku.

Kierowany nagłym odruchem współczucia Eric zatrzymał się i wyciągnął rękę.

– Neil, czy moglibyśmy zostać przyjaciółmi? – spytał. – Przykro mi, jeśli przeze mnie cierpisz.

– My przyjaciółmi?! Nigdy! – odpalił. – Zabrał mi pan Kilmeny. Zawsze będę pana nienawidził. I jeszcze się z panem policzę.

Odszedł z wściekłością, a Eric tylko wzruszył ramionami i idąc dalej, wyrzucił spotkanie z pamięci.

Dzień wydawał mu się nieskończenie długi. Kiedy wrócił na obiad do domu, Davida jeszcze nie było, ale kiedy wszedł do swego pokoju wieczorem, zastał tam przyjaciela, który kontemplował widok za oknem.

– No i co? – spytał niecierpliwie, kiedy David się odwrócił, ale nadal milczał. – Co masz mi do powiedzenia? Nie trzymaj mnie w tej straszliwej niepewności, dłużej już tego nie zniosę. Czy odkryłeś, co dolega Kilmeny?

– Nic jej nie dolega – odpowiedział David powoli i rozsiadł się w fotelu przy oknie.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Jej aparat mowy jest bez zarzutu. Z tej strony nie ma żadnych przeszkód, by mogła mówić.

– To dlaczego nie może?

– Myślę, że diagnozę najlepiej wyrażają słowa Janet Gordon, która powiedziała, że „Kilmeny jest niemową, bo jej matka nie chciała przemówić”. To problem psychologiczny, nie fizyczny. Lekarz tu nic nie poradzi. Oczywiście w mojej dziedzinie są lepsi specjaliści ode mnie, ale jestem przekonany, że gdybyś się z nimi skonsultował, powiedzą to samo.

– A więc nie ma nadziei – westchnął Eric z rozpaczą. – Nic nie możesz dla niej zrobić?

David zdjął z oparcia fotela szydełkową serwetkę z wizerunkiem lwa stojącego na dwóch łapach i rozłożył ją na swym kolanie.

– Ja nie – powiedział, przyglądając się zaszępieniu temu szczególnemu dziełu sztuki. – I nie sądzę, aby ktokolwiek potrafił jej pomóc. Ale nie twierdzą, że nie ma nadziei.

– Daj spokój, Davidzie. Nie jestem w nastroju do zgadywanek. Mów wprost, człowieku, przestań mnie dręczyć.

David skrzywił się z powątpiewaniem i wsadził palec w dziurę w serwetce, która przedstawiała oko króla zwierząt.

– Sam nie wiem, czy potrafię ci to powiedzieć wprost, bo dla mnie samego rzecz nie jest prosta. Zresztą to tylko hipoteza. Na jej poparcie nie mam żadnych dowodów. Krótko mówiąc, Ericu, sądzę, że Kilmeny może kiedyś przemówić; jeśli tylko będzie tego wystarczająco mocno pragnąć.

– Przecież tak właśnie jest! Pragnie tego najbardziej na świecie. Kocha mnie całym sercem, ale nie chce poślubić, bo jest niemową. Czy nie sądzisz, że dziewczyna w takiej sytuacji rzeczywiście „wystarczająco mocno pragnie” mówić?

– Owszem, ale ja nie mam na myśli takiego pragnienia, nawet jeśli jest bardzo silne. Chodzi mi o nagły, gwałtowny zryw, zarówno fizyczny, jak i psychiczny, na tyle silny, by zerwać niewidzialne pęta

nałożone na jej mowę. Jeśli zdarzy się coś, co wywoła takie pragnienie, Kilmeny przemówi, a kiedy raz się to zdarzy, później przyjdzie naturalnie. Wystarczy choć jedno słowo.

– Brzmi niedorzecznie – zachnął się zniecierpliwiony Eric. – Pewnie wiesz, o czym mówisz, ale ja nie. A w praktyce oznacza to, że nie ma dla niej nadziei, a tym samym również dla mnie. Nawet jeśli twoja hipoteza jest słuszna, mało prawdopodobne, że taka okazja, o jakiej mówisz, się nadarzy. Tak więc Kilmeny nigdy za mnie nie wyjdzie.

– Nie poddawaj się tak łatwo, przyjacielu. Nieraz bywało, że kobieta zmieniała zdanie.

– Ale nie taka jak Kilmeny – powiedział z rozpaczą w głosie Eric. – Ma równie silną wolę jak jej matka, jest tak samo nieustępliwa, choć nieskażona pychą ani egoizmem. Dziękuję ci za życzliwość i zainteresowanie, Davidzie. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Cóż bym dał, żebyś potrafił jej pomóc!

Eric z jękiem opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Ta chwila miała w sobie gorycz śmierci. Wydawało mu się, że jest przygotowany na rozczarowanie. Ale nie wiedział, jak wielka była jego nadzieja, dopóki mu jej nie odebrano.

David z westchnieniem ostrożnie odłożył szydełkową serwetkę na oparcie fotela.

– Ericu, szczerze mówiąc, wczoraj myślałem, że jeśli nie uda mi się pomóc tej dziewczynie, wyjdzie ci to na dobre. Jednak, odkąd ją zobaczyłem, dałbym sobie rękę uciąć, by jej pomóc. To odpowiednia żona dla ciebie, godna twojej matki. – David uderzył mocno pięścią w parapet. – Musi wyjść za ciebie, nawet jeśli jest niemową, tylko trzeba ją do tego przekonać.

– Ona nie da się przekonać. Nie, Davidzie, straciłem ją. Czy powiedziałeś jej to samo co mnie?

– Tylko tyle, że nie potrafię jej pomóc. O swojej hipotezie nie wspominałem. Nic dobrego by z tego nie przyszło.

– Jak to przyjęła?

– Bardzo dzielnie i spokojnie. Prawdziwa z niej dama. Jednak wyraz jej oczu... Ericu, czułem się jak morderca. Z żalnym

uśmiechem skinęła mi głową na pożegnanie i poszła na górę. Już jej nie widziałem, chociaż zostałem u Gordonów na obiedzie. Dziwna to para, ale ich polubiłem. Są charakterni, pewnie dobrzy z nich przyjaciele, ale czasami zachowują się jak zajadli wrogowie. Żałowali, że nie mogą pomóc Kilmeny, ale widziałem, że zdaniem Thomasa sama próba zrobienia czegoś w tej sprawie to mieszanie się w wyroki Opatrzności.

Eric uśmiechnął się mechanicznie.

– Muszę teraz iść zobaczyć się z Kilmeny. Wybaczysz mi, Davidzie, prawda? Tu są moje książki, przeczytaj coś sobie.

Jednak kiedy Eric przyszedł do Gordonów, zastał tylko Janet, która powiedziała, że Kilmeny jest w swoim pokoju i nie chce go widzieć.

– Domyślała się, że pan przyjdzie, i prosiła, bym to panu oddała.

Janet podała mu krótki liścik. Był pospiesznie napisany i zroszony łzami.

Nie przychodź już, Ericu. Nie możemy się więcej widywać, bo będziemy za bardzo cierpieć. Musisz odejść i o mnie zapomnieć. Pewnego dnia będziesz mi za to wdzięczny. Zawsze będę Cię kochać i modlić się za Ciebie.

Kilmeny

– Muszę ją zobaczyć! – zawołał Eric. – Proszę jej powiedzieć, żeby choć zamieniła ze mną słowo!

Janet pokręciła głową, ale poszła na górę. Wkrótce wróciła.

– Mówi, że nie zejdzie. Tak postanowiła i nie ma sensu jej namawiać. I muszę przyznać, że się z nią zgadzam. Skoro nie chce za pana wyjść, lepiej byście się już nie spotykali.

Niepocieszony Eric wrócił do domu. Rankiem, a była to niedziela, odwiózł Davida na stację. Po nieprzespanej nocy był tak umęczony i niespokojny, że David zaczął się o niego martwić. David chętnie zostałby jeszcze parę dni w Lindsay, ale musiał prędko wracać do Queenslea z powodu pacjenta, który znalazł się w krytycznym stanie. Na peronie pożegnał się z Erikiem serdecznie.

– Ericu, rzuć tę szkołę i natychmiast wracaj do domu. Nie masz po

co tu zostawać, po prostu się zadreńczysz.

– Muszę jeszcze raz zobaczyć się z Kilmeny – odpowiedział Eric.

Po południu znów poszedł do Gordonów. Jednak rezultat był taki sam: Kilmeny nie chciała go widzieć. Thomas Gordon powiedział z powagą w głosie:

– Lubię pana, sam pan to wie, i żałuję, że Kilmeny myśli, co myśli, chociaż może ma rację. Cieszyłbym się, gdybym mógł pana często widywać i będzie mi brakowało pańskiego towarzystwa. Jednak jest, jak jest, i skoro tak się rzeczy mają, powiem panu wprost: lepiej, by pan więcej nie przychodził. Nic dobrego z tego nie wyniknie, a im szybciej przestaniecie o sobie myśleć, tym lepiej dla was. Idź, chłopcze, i niech Bóg ma cię w opiece.

– Czy pan wie, o co pan mnie prosi? – spytał Eric chrapliwym głosem.

– Wiem, że proszę o coś bardzo trudnego, ale to dla pańskiego dobra. Kilmeny nigdy nie zmieni zdania. My dobrze znamy tę nieustępliwość. Cicho, Janet, nie płacz. Wy, kobiety, jesteście takie niemądre. Czy naprawdę myślisz, że łzy mogą zmyć grzech i jego następstwa? To straszne, że jeden zły postępek może tak zaważyć na niewinnym życiu, strawić je, długo po tym, jak grzesznik sam już stanął przed Bogiem. Panie Ericu, proszę posłuchać mojej rady. Niech pan rzuci tę szkołę i jak najszybciej wraca do swojego świata.



17 ZERWANIE PĘT

ERIC WRÓCIŁ DO DOMU z bladą, wynędzniałą twarzą. Nie wiedział, że można aż tak cierpieć. Cóż miał teraz ze sobą począć? Bez Kilmeny dalsze życie wydawało się niemożliwe. Ból przeszywał mu duszę, nadzieja zmieniła się w gorzycz.

Później nie wiedział, jak udało mu się przetrwać tę niedzielę, a w poniedziałek normalnie prowadzić lekcje. Przekonał się, że człowiek może bardzo cierpieć, a jednak dalej żyć i pracować. Własne ciało wydawało mu się automatem. Mechanicznie się poruszał i mówił, podczas gdy dusza uwięziona w środku cierpiała z bólu, który odciskał na zawsze swe piętno. Z tego tygła udręki Eric Marshall wyszedł jako mężczyzna. Na zawsze zostawił za sobą chłopięce lata i odtąd lepiej rozumiał życie.

We wtorek po południu odbywał się pogrzeb jednego z mieszkańców, więc zgodnie z miejscowym zwyczajem odwołano lekcje. Eric znów poszedł do starego sadu. Nie spodziewał się spotkać tam Kilmeny. Sądził, że nie chce się na niego natknąć i omija ten zakątek. Jednak nie mógł się oprzeć pokusie zajrzenia do sadu. Wiedział, że to może być bolesne, ale nie potrafił odjechać bez pożegnania z tym miejscem. W tym dziwnym starym sadzie spotykał się ze swoją ukochaną, patrzył, jak rozkwita na jego oczach niczym jakiś rzadki kwiat. W ciągu krótkich trzech miesięcy zmieniła się ze ślicznej dziewczyny w przepiękną kobietę.

Kiedy Eric przechodził przez pastwisko przed świerkowym zagajnikiem, spotkał Neila Gordona, który budował płot. Chłopak nie podniósł na niego wzroku, tylko z ponurą miną nadal wbijał słupki. Wcześniej Eric tylko litował się nad Neilem, teraz prawdziwie mu współczuł. Czyż Neil nie cierpiał tak samo jak on? Był jego towarzyszem niedoli.

Sad stał cichy i senny w blasku wrześniowego słońca, które wydobywało esencję zapachów, jakie lato zgromadziło w lesie i na polach. Zostało niewiele kwiatów, lilie zwiędły, choć jeszcze przed paroma dniami panoszyły się przy ścieżce. Trawa zrudziała. Jednak w rogach płonęły niczym pochodnie żółte nawłocie, a tu i ówdzie kołysały się fioletowe astry. Sad nadal czarował dziwnym powabem, jak pewne kobiety, które mają młodość za sobą, ale zachowują niezniszczalny czar.

Eric szedł przez sad w posępnym roztargnieniu, a wreszcie usiadł na złamanym płocie w cieniu gałęzi świerku. Tam popadł w gorzko-słodką zadumę, przeżywał na nowo wszystko, co zdarzyło się w sadzie od czasu jego pierwszego spotkania z Kilmeny.

Tak się zamyślił, że nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Nie słyszał, że w świerkowym lesie za jego plecami ktoś się skrada. Nie zauważył nawet Kilmeny, która wyłoniła się zza zakrętu czereśniowej alejki.

Kilmeny przyszła do sadu, by ukoić swoje złamane serce. Nie obawiała się, że spotka o tej porze Erica, bo nie wiedziała, że odwołano lekcje. Za nic nie poszłaby tam wieczorem, ale wciąż tęskniła za ulubionym zakątkiem. Zostały jej tylko ten sad i wspomnienia.

Wydawało się, jakby w ciągu tych paru dni dziewczyna postarzała się o kilka lat. Bo też nigdy jeszcze nie zakosztowała tyle goryczy. Na jej twarzy zamiast radosnej beztroski pojawiła się smętna rezygnacja. Kiedy Thomas Gordon zobaczył ją rankiem przy śniadaniu, posępnie pokręcił głową.

„Nie wytrzyma tego – pomyślał. – Nie zabawi długo na tym świecie. Może tak będzie najlepiej dla biednej dziewczyny. Wolałbym, żeby nauczyciel nigdy nie przyszedł do sadu Connorów ani nie pojawił w naszym domu. Och, Margaret, to straszne, że twoje dziecko musi

płacić za twój grzech”.

Idąc, Kilmeny wyglądała jak lunatyczka. Kiedy dotarła do dziury w płocie, przez którą wchodziło się do sadu, uniosła wymizerowaną buzię i ujrzała Erica siedzącego w cieniu lasu po drugiej stronie sadu, ze zwieszoną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Zatrzymała się raptownie i mocno zaczerwieniła.

W następnej chwili rumieniec ustąpił marmurowej bladości. W oczach dziewczyny pojawiło się śmiertelne przerażenie niby siny cień chmury przesłaniający dwa niebieskie stawy.

Za Erikiem stał przyczajony Neil Gordon. Nawet z tej odległości Kilmeny dostrzegła jego morderczy wzrok oraz to, co trzymał w rękach. W koszmarnym przeblysku zrozumienia pojęła, na co się zanosi.

Natychmiast ogarnęła umysłem całą sytuację. Było jasne, że zanim przebiegnie sad, by ostrzec Erica dotknięciem, będzie za późno. Musi go jednak ostrzec, musi! Potężne pragnienie wezbrało w niej jak morska fala, która zmiata wszystkie przeszkody. Kiedy Neil Gordon z mściwie wykrzywioną, demoniczną twarzą raptownie uniósł siekiere, Kilmeny przeskoczyła przez dziurę w płocie do sadu.

– Ericu!!! Ericu! Uważaj! Obejrzyj się!

Eric, słysząc ten wrzask, oszołomiony podniósł głowę. Nie miał pojęcia, że woła do niego Kilmeny, ale instynktownie posłuchał rozkazu.

Obejrzał się i zobaczył Neila Gordona. Patrzył nie na niego, lecz widoczną za jego plecami Kilmeny. Twarz chłopaka poszarzała, w oczach miał grozę i niedowierzanie, jakby jego morderczy zamiar udaremniła jakaś nadnaturalna siła. Leżąca u jego stóp siekiera, którą upuścił zaszokowany krzykiem Kilmeny, mówiła wszystko. Nim Eric zdążył wyjąkać słowo, Neil ze zwierzęcym skowytym rzucił się w świerkową gęstwinę.

Chwilę później Kilmeny, ze śliczną twarzą zroszoną łzami i opromienioną równocześnie uśmiechem, rzuciła się Ericowi na szyję.

– Och, Ericu! Mogę mówić! To cudowne! Ericu, kocham cię! Kocham cię!



18 DECYZJA NEILA GORDONA

– TO CUD! – powiedział Thomas Gordon z podziwem.

Odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy Eric i Kilmeny, trzymając się za ręce, wpadli zdyszani do domu i jak dzieci oszołomione z radości i zachwytu jedno przez drugie opowiedzieli Thomasowi i Janet, co zaszło.

– Och, nie. Cudownie się stało, ale to żaden cud – powiedział Eric.

– David uprzedził mnie, że to może nastąpić. Ale nie miałem nadziei, że tak się stanie. Gdyby był tutaj, potrafiłby wszystko wytłumaczyć.

Thomas Gordon pokręcił głową.

– Bardzo wątpię. Dla mnie to cud. Podziękujmy pokornie Bogu za to, że zdjął przekleństwo z niewinnej istoty. Pańscy doktorzy mogą sobie mówić, co chcą, ale myślę, że nie będą bliżej prawdy. Ręka boska, ot co. Janet, zdaje mi się, że to sen. Czy Kilmeny naprawdę mówi?

– Tak, wuju – potwierdziła Kilmeny, zerkając na Erica. – Sama nie wiem, jak to możliwe. Poczułam, że muszę krzyknąć, i się udało. A teraz przychodzi mi to bez wysiłku, jakbym zawsze mówiła.

Rzeczywiście tak było. Miała tylko trudność z modulacją głosu. Czasem odzywała się trochę zbyt piskliwie, innym razem za nisko. Ale widać było, że wkrótce zyska nad tym kontrolę. Miała piękny, czysty i melodyjny głos.

– Tak się cieszę, że pierwszym słowem, jakie wypowiedziałam, było twoje imię – szepnęła do Erica.

– A co z Neilem? – spytał z troską Thomas Gordon, kiedy już otrząsnął się z oszołomienia. – Co z nim zrobimy, kiedy wróci? To poważna sprawa.

Eric prawie zapomniał o Neilu, tak był zaskoczony i uradowany. Jeszcze do niego nie docierało, że ledwie uniknął gwałtownej śmierci.

– Musimy mu wybaczyć, panie Gordon. Wiem, co sam bym czuł do mężczyzny, który chciałby mi odebrać Kilmeny. Był udręczony, uległ złemu impulsowi. A proszę pomyśleć, ile dobrego z tego wynikło.

– To prawda, ale jednak chłopak chciał pana zabić. Opatrzność uchroniła go przed popełnieniem zbrodni i zamiast zła sprowadziła dobro. Jednak on zawinił myślą. A my troszczyliśmy się o niego, wychowywaliśmy jak własne dziecko, kochaliśmy pomimo wszystkich wad! To straszna sytuacja i nie wiem, co mamy zrobić. Nie możemy zachowywać się tak, jakby nic nie zaszło. Już nigdy mu nie zaufamy.

Jednak Neil Gordon sam rozwiązał swój problem. Kiedy Eric wrócił wieczorem do domu, zastał Roberta Williamsona w kuchni, gdzie raczył się chlebem i serem po wyprawie na stację. Timothy siedział na kredensie jak czarny aksamitny bożek i uroczyście przyjmował daninę z różnych smakołyków.

– Dobry wieczór, panie Ericu, cieszę się, że już pan normalnie wygląda. Mówiłem żonie, że pewnie chodzi o jakąś sprzeczkę zakochanych. Martwiła się o pana, ale nie chciała wypytywać. Ona nie należy do tych nieszczęśników, co to nie usiedzą spokojnie, jak nie wyniuchają, co u innych słychać. Ale co za draka zaszła dzisiaj u Gordonów?

Eric był zaskoczony. Czyżby Robert Williamson czegoś się dowiedział, i to tak szybko?

– Co pan ma na myśli? – spytał dyplomatycznie.

– No jak to! Ludzie na stacji od razu się domyślili, że zaszło coś poważnego, skoro Neil Gordon wyjechał w takim pośpiechu z innymi żniwiarzami.

– Neil wyjechał?! – zawołał Eric.

– Tak. Właśnie dziś wieczorem odjeżdżał pociąg z robotnikami najętymi do żniw. W nocy wsiadają na statek, mają specjalny kurs. Z naszych okolic zebrało się kilkunastu chłopów. Właśnie staliśmy sobie

i gadaliśmy przed stacją, kiedy nadjechał pędem Lincoln Frame, a Neil zeskoczył z rozpędzonego wozu. Wpadł do kasy, kupił bilet i pognął do pociągu. Do nikogo nie wyrzekł ani słowa, a wyglądał jak wściekłe diablisko. Wszystkich zatkało ze zdziwienia, więc nie zdążyliśmy go o nic wypytać. Lincoln też niewiele wiedział. Podobno Neil wpadł do niego po zmroku, a wyglądał, jakby ktoś go ścigał. Zaoferował Lincolnowi za sześćdziesiąt dolarów swoją czarną klaczkę, jeśli ten zawiezie go na stację tak szybko, by złapał pociąg ze żniwiarzami. Na tę klaczkę Lincoln już dawno miał chrapkę, tylko że Neil nigdy nie chciał słyszeć o sprzedaży. Tak więc teraz Lincoln natychmiast skorzystał z okazji. Neil przyprowadził konia, a Lincoln od razu go zaprzął i zawiózł chłopaka na stację. Podobno Neil nie miał żadnego bagażu i przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Doszliśmy do wniosku, że musiał się pokłócić ze starym Thomasem. Słyszał pan coś o tym? Czy tak się pan zajął amatorami, że ogłuchł i oślepl na wszystko?

Eric szybko ocenił sytuację. Ulżyło mu na wieść, że Neil uciekł. Już nigdy nie wróci i tak będzie najlepiej dla wszystkich. Robertowi trzeba powiedzieć przynajmniej część prawdy, bo i tak wkrótce się rozniesie, że Kilmeny może mówić.

– Dziś wieczorem u Gordonów rzeczywiście doszło do zamieszania – odpowiedział spokojnie. – Neil Gordon zachował się nieodpowiednio i bardzo wystraszył Kilmeny. Tak bardzo, że zdarzyło się coś zaskakującego. Kilmeny przemówiła. Okazało się, że może mówić, i to całkiem dobrze.

Robert odłożył nadziany na czubek noża kawałek sera, który właśnie wkładał sobie do ust, i oszołomiony wpatrzył się w Erica.

– Na Boga, to niesamowite! – wykrzyknął. – Mówi pan poważnie, czy tylko mnie podpuszcza?

– Nie, panie Williamson, zapewniam, że to prawda. Doktor Baker powiedział, że szok może ją wyleczyć, i jak się okazało, miał rację. Co do Neila, pewnie zniknął na dobre, i myślę, że dobrze się stało.

Nie zamierzając wdawać się w dalsze szczegóły, Eric wyszedł z kuchni. Kiedy wspinał się po schodach do swego pokoiku, usłyszał za plecami, jak oszołomiony Robert mówi sam do siebie:

– Ale historia! Nie słyszałem o czymś takim, jak żyję. Timothy,

a czy ty słyszałeś coś podobnego? Z tymi Gordonami to naprawdę nigdy nic nie wiadomo. Nie zachowują się jak inni. Muszę obudzić mateczkę i zaraz jej o wszystkim opowiedzieć, bo inaczej nie zmrużę oka.



19 ZWYCIĘSTWO

TERAZ, KIEDY WSZYSTKO SIĘ UŁOŻYŁO, Eric chciał już porzucić posadę nauczyciela i wrócić do rodzinnego domu. Owszem, podpisał umowę na następny rok, ale wiedział, że rada szkolna pozwoli mu odejść, jeśli znajdzie kogoś odpowiedniego na swoje miejsce. Postanowił uczyć do ferii jesiennych w październiku, a potem wyjechać. Kilmeny obiecała, że ich ślub odbędzie się na wiosnę. Eric błagał o wcześniejszy termin, ale była stanowcza w tym względzie, a Thomas i Janet się z nią zgadzali.

– Zanim wyjdę za mąż, muszę się jeszcze wielu rzeczy nauczyć – powiedziała Kilmeny. – I chcę się przyzwyczaić do widywania ludzi. Nadal jestem trochę wystraszona, kiedy spotykam jakąś nieznaną mi osobę, choć chyba tego po sobie nie pokazuję. Będę chodzić z wujem i ciocią do kościoła i na zebrania Towarzystwa Misyjnego. Wuj Thomas mówi, że zimą może wysłać mnie do miejskiej szkoły z internatem, jeśli sądzisz, że to wskazane.

Eric od razu zaprotestował. Pomysł, by Kilmeny znalazła się w szkole z internatem, wydał mu się śmieszny.

– Nie rozumiem, dlaczego nie może nauczyć się wszystkiego, co jej będzie potrzebne, kiedy już za mnie wyjdzie – skarżył się jej wujowi i ciotce.

– Chcemy zatrzymać ją na jeszcze jedną zimę – wyjaśniał cierpliwie Thomas Gordon. – Kiedy wyjedzie, będziemy bardzo za nią

tęsknić. Nigdy nie rozstawaliśmy się nawet na jeden dzień; jest naszym słoneczkiem. Mówi pan, że będzie mogła nas odwiedzać, kiedy tylko zechce, i to bardzo miłe, ale wtedy wszystko się zmieni. Będzie należała do pańskiego świata, a nie do naszego. Tak oczywiście powinno być. Ale proszę pozwolić nam się nią jeszcze trochę nacieszyć.

Po krótkim czasie Eric ustąpił, starając się nie okazywać rozczarowania. Bądź co bądź, pomyślał, Lindsay nie jest wcale tak daleko od Queenslea, a przecież są pociągi i statki.

– Czy powiedział pan już o wszystkim ojcu? – spytała niespokojnie Janet.

Nie, jeszcze tego nie zrobił. Jednak tego wieczoru poszedł do domu i zdał ojcu pisemne sprawozdanie z tego, co zdarzyło się latem.

Pan Marshall senior, zamiast odpisać, zjawił się osobiście. Kilka dni później, kiedy Eric wrócił ze szkoły do domu, zastał ojca w wymuskany, nieskazitelny salonik pani Williamson. Do końca podwieczorku nie padło nawet słowo na temat listu Erica. Kiedy jednak znaleźli się sam na sam, ojciec odezwał się ostrym tonem:

– Co za sprawa z tą dziewczyną? Mam nadzieję, że nie zrobiłeś głupstwa, ale na razie na to mi wygląda. Dziewczyna, która przez całe życie była niema, i do tego nie ma prawa do nazwiska swego ojca! Wiejska dziewczyna wychowana w takiej dziurze jak Lindsay! Twoja żona ma zająć miejsce twojej matki, a ta była perłą wśród kobiet. Czy sądzisz, że twoja wybranka jest tego warta? Niemożliwe! Oczarowała cię ładna buzia i dziewczęca świeżość. Spodziewałem się, że nic dobrego nie wyniknie z tego głupiego kaprysu, by przyjechać tutaj i uczyć w szkole.

– Zaczekaj, aż zobaczysz Kilmeny – odparł Eric z uśmiechem.

– Ha! To samo powiedział David Baker. Poszedłem do niego od razu, kiedy dostałem twój list. Wiedziałem, że jest jakiś związek między tym, o czym pisałeś, a jego tajemniczą wizytą tutaj. Nie mogłem z niego wyciągnąć ani słowa. Usłyszałem tylko: „Proszę poczekać, aż pan zobaczy Kilmeny”. W porządku, ale pamiętaj, że będę na nią patrzył oczami dojrzałego mężczyzny, a nie młokosa. Jeśli uznam, że nie nadaje się na twoją żonę, to albo ją zostawisz, albo radź sobie sam. Nie przyłożę ręki do tego, byś popełnił głupstwo i zmarnował sobie życie.

Eric przygryzł wargi, ale tylko spokojnie odpowiedział:

– Chodź, ojcie. Od razu pójdziemy się z nią spotkać.

Poszli do Gordonów główną drogą, ale nie zastali Kilmeny w domu.

– Jest w starym sadzie – powiedziała Janet. – Tak kocha to miejsce, że spędza w nim każdą wolną chwilę. Chodzi tam z książką.

Zabawili trochę u Gordonów, by porozmawiać z Thomasem i Janet.

– Podobają mi się ci ludzie – oświadczył pan Marshall, kiedy już wyszli. – Gdyby Thomas Gordon był taki jak Robert Williamson, nie spodziewałbym się wiele po twojej Kilmeny. Ale oni są w porządku – trochę oschli, ale mają w sobie wrodzoną szlachetność. Mam tylko nadzieję, że młoda dama nie ma takich ust jak jej ciotka.

– Usta Kilmeny są jak pieśń miłosna – zapewnił z entuzjazmem Eric.

– Hm! – mruknął pan Marshall. – Cóż, ja też miewałem takie zrywy poetyckie, przez jakieś pół roku, kiedy zalecałem się do twojej matki – dodał nieco łagodniej chwilę później.

Kiedy doszli do sadu, Kilmeny czytała książkę na ławce pod krzakiem bzu. Wstała i wyszła im nieśmiało na spotkanie, domyślając się, kim jest wysoki, siwowłosy dżentelmen, z którym zjawił się Eric. Ucieszył się, bo wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Miała na sobie prostą suknię w ulubionym niebieskim kolorze, podkreślającą jej smukłą figurę. Lśniące czarne włosy splotła w warkocz i upięła w koronę na głowie. Kilka zatkniętych tam astrów wyglądało jak bladofioletowe gwiazdy. Twarz miała zaróżowioną z podniecenia. Wyglądała jak młoda księżniczka ukoronowana czerwoną łuną zachodzącego słońca, która przeświecała przez stare drzewa.

– Ojcie, oto Kilmeny – powiedział Eric z dumą.

Kilmeny wyciągnęła rękę i nieśmiało wymamrotała słowa powitania. Pan Marshall ujął dłoń dziewczyny i wpatrywał się w jej twarz tak długo i badawczo, że musiała odwrócić swe szczerze spojrzenie. Potem przyciągnął ją do siebie i pocałował z powagą w blade czoło.

– Moja droga – powiedział. – Jestem szczęśliwy i dumny, że zgodziłaś się zostać żoną mojego syna oraz moją ukochaną, czcigodną

córką.

Eric odwrócił się gwałtownie, by ukryć wzruszenie, a jego twarz rozjaśniła się, jakby ujrzał przed sobą cudowną przyszłość.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1. MŁODZIEŃCZE PLANY
2. LIST OD LOSU
3. NAUCZYCIEL Z LINDSAY
4. POGAWĘDKA PRZY PODWIECZORKU
5. ZACHWYCAJĄCA ZJAWA
6. DZIEJE KILMENY
7. CZAR KOBIECOŚCI
8. U BRAM RAJU
9. PROSTOTA EWY
10. ZMAĆCONA WODA
11. ZAKOCHANY I JEGO WYBRANKA
12. W MIŁOSNYCH PĘTACH
13. PIĘKNOŚĆ
14. SZLACHETNE WYRZECZENIE
15. PIĘTNO GRZECHU
16. DIAGNOZA DAVIDA BAKERA
17. ZERWANIE PĘT
18. DECYZJA NEILA GORDONA
19. ZWYCIĘSTWO

¹ Bohaterka baśni braci Grimm, pod tym samym tytułem.

² Alfred Tennyson, *Ginewra*, przeł. Adam Pajgert.

³ Biblia Tysiąclecia, 1 Sm, 18,17.

⁴ John Keats, *Oda do słowika*, przeł. Stanisław Barańczak.

⁵ Imię bohaterki pochodzi z wiersza *Kilmeny* ze zbioru *Queen's Wake* szkockiego poety Jamesa Hogga.

⁶ Alfred Tennyson, *Idylls of the King*.

⁷ Alfred Tennyson, *Sir Launcelot and Queen Guinevere*.

